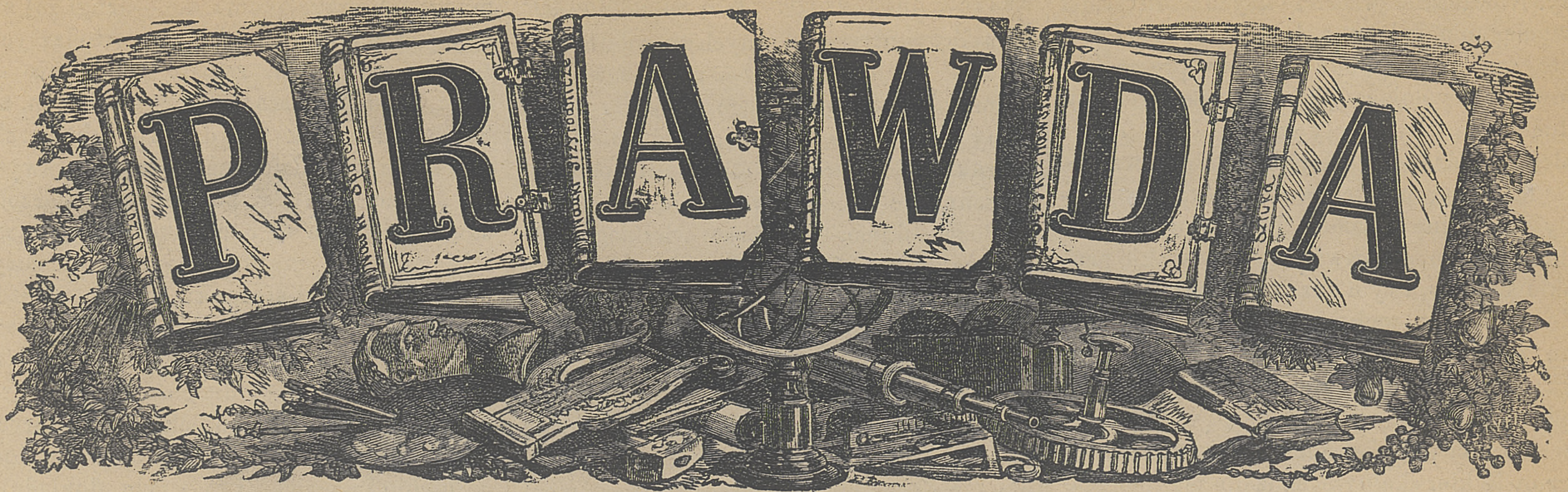
№ 5. Warszawa, dnia 29 (17) Stycznia 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

BŁĘDNE KOŁA.

I.

Nawet dość gorliwi apostołowie klerykalizmu u nas, przejechawszy granicę pruską, uczuwają śród swych poznańskich braci pewną zatęchłość atmosfery publicznej. Mówimy wyraźnie publicznej, gdyż te same umysły, które na stanowiskach dziennikarskich lub poselskich trącą silnie ultramontańską myszką, w swoich rozumowaniach prywatnych otwierają się tak swobodnie, jak gdyby ich nie zamykał nigdy klucz papieski. Jest to bardzo zrozumiałem. Poznańscy ziomkowie nasi, wzrastając w warunkach wysoko podniesionej oświaty i pod wpływem wielostronnie rozwiniętego życia społeczno-politycznego, muszą dojrzewać wcześnie i należycie. Surowa lub polakierowana ciemnota nie może bujnie rozrastać się tam, gdzie łatwość nabycia wiedzy jest tak wielką, a posiadanie jej tak niezbędnem. To też śród naszych poznańskich ziomków spotykamy nierównie liczniejszy, niż u nas, procent obywateli kraju, gruntownie ukształconych i szeroko ogarniających sprawy ogólnego znaczenia. Dla czegóż, mimo to, znajdujemy w nich jednocześnie wyższą temperaturę klerykalną?

Pytanie to wprowadza nas w jedno z tych błędnych kół, w których trzema odmiennymi ruchami kręci się plemię polskie, otwiera przed nami jedną z ksiąg tej „podwójnej buchalteryi", w której zapisują się wypadki jego współczesnej historyi. Nadmierna zachowawczość poznańczyków nie jest szczerym wyrazem ich przekonań, ale sztucznem narzędziem polityki. Udana, skłamana, służy jako środek walki w obronie narodowości. Rozejrzawszy się w naturze tej walki, pojmiemy skuteczność użytego w niej oręża. Ponieważ zalew germański nietylko gwałtownie łamie i topi narodowość polską, ale nadto powoli ją przetrawia sokami wyższej i odmiennej cywilizacyi, więc polityce poznańscy za jedyną i najpewniejszą drogę ratunku uznali zachowywanie *wszystkich*, nawet przestarzałych jej cech i usilne wzmacnianie znamion odrębnych. Język i religia stały się dwoma głównymi szańcami, po za którymi zagrożeni polacy pruscy ukryli swój byt narodowy. Jakkolwiek pierwszy posiada dla społeczeństwa nierównie większe znaczenie, druga może w jego wnętrzu rozbudzać więcej organów i wytwarzać liczniejsze przymierza zewnętrzne. Oba te względy są dla celów praktycznych bardzo ważne. Człowiek ukształcony, jeżeli nie pożegłował pod obcą banderą, posiada w sobie dość sił, utrzymujących go w narodowym charakterze. On nie uczy się od księdza patryotyzmu, tak jak nie uczy się od niego żadnych przekonań. Inaczej przecież rzecz się ma z warstwami niższego pokładu. Do ciemnych umysłów nie przedrze się ani jeden promień oderwanej idei, w głuchych uszach nie zadźwięczy ani jedno cywilizacyjne hasło, na grubych strunach tych dusz trzeba grać równie grubymi środkami i rozbudzać najpalniejsze namiętności fanatyzmu religijnego. Chłop poznański lub szląski, który zniemczył swój język, obyczaje i upodobania, podrażniony religijnie, odcina się ostro od obcego pnia, do którego powoli przyrósł i łączy się z rodzinnym. Pomimo wszystkich okłamywań, jakiemi bez potrzeby durzyli i durzą pisma nasze ich sprawozdawcy zagraniczni, nie ulega wątpliwości, że lud polski w Prusach jest w swoich uczuciach i przekonaniach nawskroś zniemczony, że nie pamięta o żadnej łączności przeszłej i wypiera się teraźniejszej, że jedyną nicią, która go spaja w odrębną całość, jest katolicyzm. I dla tego zarówno na Szląsku jak i w Poznańskiem widzimy tyle klerykalnych oaz, tyle rozpalonych do fanatycznej czerwoności pism, tyle zdawkowej monety moralnej z papieskim stemplem. Posłowie w sejmie, dziennikarze w gazetach, agitatorowie na wiecach, wszyscy odśpiewują zgodny chorał religijnych skarg lub uniesień. Słysząc ten chorał, widząc ciągłe utarczki za księży, nawet za takich politycznych przechrztów i obywateli czarnej międzynarodówki, jakim był męczennik papizmu, kardynał Ledóchowski, który jednej deputacyi poznańskiej oświadczył, że nie zna polaków, tylko katolików—patrząc na to, zdaje nam się, że przed naszemi oczyma rozpościera się obraz jezuickiego Paragwaju. I niezawodnie czują to może ci sami, którzy w owym obrazie grają główne role. Uspakajają jednak siebie i świadków swojej działalności tem, że nie ma innego sposobu ocalenia, że gdy płomienie germańskie spaliły ciało i kości narodu, wiara staje się popielnicą, która potomnym przechowa prochy tradycyi rodzinnych.

To jest czynnik wewnętrzny. Łączy się z nim—jak rzekliśmy—przymierze zewnętrzne. Pomijając usługi Stolicy Apostolskiej, kończące się zwykle na przyjęciu świętopietrza i podaniu „wiernym" do pocałowania pantofla, na pomoc polakom pruskim w sejmie przybywało niemal zawsze stronnictwo katolickie, tak zwany *środek* Izby. Pomoc ta jednak często pociągała za sobą znaczne moralne koszta. Poznańczycy, zawierając przymierza z niemieckimi feodałami, musieli często robić na ich korzyść ustępstwa ze swych głosów i stawać w obronie takich wniosków lub praw, któremi cywilizacya wcale poszczycić się nie może, lub opierać się takim, które one za swą cenną zdobycz uznaje. Niemcy umieją dziwnie kazić w praktycznem zastosowaniu nawet te wielkie idee, które zrodziły się albo dojrzały w łonie ich własnego ducha. Jak dla jednego ministra wypaczyli cały ustrój konstytucyjny, tak po żołdacku gospodarowali w interesie swobo-

dy. Niezależnie przecież od tych nadużyć, od wyciągania księży z kościołów do kozy, przyznać trzeba, że tak zwane prawa majowe, wyzwalające państwo z pod władzy duchowieństwa, były w zasadzie pomysłem bardzo szczęśliwym i przeprowadzone tak rozumnie, jak we Francyi, wydałyby pomyślne owoce. Bismarkowski jednak chrzan, doprawiający wszystkie pruskie ustawy, i tym razem domięszał się do sposobów wykonania praw i wywarł na stosunki kraju wpływ gryzący. Poznańczycy znowu, nie oddzielając łupiny od ziarna, oświadczyli się w znacznej większości przeciw samej idei i stanęli na gruncie klerykalnym, bądź dla przypodobania się sprzymierzeńcom, bądź dla dobra swej narodowości.

Polacy zatem pruscy stoją dziś na przecięciu się dwu fatalnych dróg: albo w postępie z cywilizacyą niemiecką stracić swoją narodowość, albo w cofaniu się osłabić własny postęp. Jedna z tych dróg prowadzi do narodowej śmierci, druga do cywilizacyjnego bankructwa. Stanowcze przechylenie się na tę lub przeciwną stronę popycha do takiego lub innego upadku. To też światlejsi politycy poznańscy starają się utrzymać możliwą równowagę między ostatecznościami a te łamane sztuki stanowią jądro ich działalności. Każdy niemal dzień każe im wybierać między oświeconym wrogiem a ciemnym przyjacielem, między twórcami ustaw majowych a ich ofiarami Jest-to *taniec śród mieczów*, płynięcie między Scyllą i Charybdą, gra w dwie śmierci. Uprzytomniwszy sobie wszystkie trudności tego tańca, tej żeglugi, tej gry niebezpiecznej, nie możemy sądzić zbyt surowo ludzi, którzy mają do spełnienia tak trudne zadanie, a nawet musimy przyznać, że koło polskie w Berlinie silniej i godniej dźwiga ciężar swych obowiązków, niż w Wiedniu. Po za tem jednak zmierzeniem różnicy zasług, po za wytknięciem cząstkowych błędów, po za smutnem opłakaniem zniżonego rozwoju umysłowego śród naszych braci pod rządem pruskim, kto im odważy się wskazać inną drogę? Kto sumiennie poręczyłby skuteczność innych sposobów walki? Jest to błędne koło bez wyjścia, a przynajmniej bez pomyślnego wyjścia. Możemy skarżyć się na sfanatyzowanie ludu, na zakażenie literatury klerykalizmem, na wyschnięcie źródeł swobodniejszej myśli w Poznańskiem, na obraz wielkiego probostwa, które ssie z narodu moralne dziesięciny, słowem, możemy krytykować skutki, ale nie możemy wytworzyć dobroczynnych przyczyn. W potokach życia narodów są wiry, na których najumiejętniej sterowana łódź polityczna ciągle kręcić się będzie i w pożądanym kierunku nie popłynie. Na taki, skałami otoczony wir, wpadło Poznańskie, które nie prędzej wydobędzie się z odmętu, aż oberwą się owe skały. Dziś stoi ono pośród dwu rozwartych na nie paszcz — klerykalizmu i germanizmu: każda z nich grozi śmiercią—odmienną; szczęściem, jedna drugiej nie pozwala wydrzeć sobie łupu. Smutna dla Poznańskiego wybije godzina, gdy Leon XIII zasiądzie z Bismarkiem do jednego stołu.

TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

I.

Wiadome są powszechnie przykłady z dziejów nauki, dowodzące pożytku, jaki odnosimy ze sprawdzania jednych prawd przez drugie. Ten sposób badania, znany jako metoda w matematyce, znany też jest i innym naukom. Każda prawda, pewna w stosunku do tych faktów, którym byt swój zawdzięcza, może odpowiadać rzeczywistości, gdyż z niej została zaczerpniętą i wywnioskowaną. Wszakże kilka innych faktów może jej przeczyć, t. j. pewien szereg dowodów może ją unieważniać. Wyobraźmy sobie dwóch spostrzegaczów, z których jeden bada spadanie ciał i na tej drodze dochodzi do ustalenia bytu siły wzajemnego ich przyciągania się,—drugi zaś zajęty jest zbieraniem faktów, dowodzących, że są pewne ciała, zawsze wzlatujące do góry lub też unoszące się w powietrzu, albo nakoniec (jak np. drzewo lub korek) nietonące w wodzie—na podstawie swych spostrzeżeń dowodzi, że ciała są obdarzone siłą odpychania się i że tylko przy pomocy tej jego teoryi można sobie wytłomaczyć budowę, układ i stosunki rzeczy. Każdy z nich ze swego stanowiska ma słuszność; żaden z nich przecie niema słuszności ze stanowiska bezwzględnego. Że pochodzenie praw mechaniki wszechświata, któremi tłomaczymy sobie dziś zjawiska, zachodzące na niebie i na ziemi i to o tyle dokładnie, iż jesteśmy nawet w stanie z możliwą ścisłością przepowiadać zaćmienia i komety, że początek tych prawd musiał być mniej więcej podobny do przytoczonego poprzednio przykładu dwóch jednostronnych badaczów, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wszelkie prawdy zdobywają się na drodze indukcyi, sprawdzają się zaś przez dedukcyę. Wniosek, wyciągnięty z faktów zebranych jak najskrzętniej, może być obalony przez inny wniosek, oparty na niewielkiej nawet liczbie spostrzeżeń. Każdy późniejszy w czasie wniosek jest tem bliższy bezwzględnej prawdy, im na większej ilości faktów został sprawdzony. Ale nawet milion faktów pewnej kategoryi, podobnych do siebie, a nawet zupełnie jednakowych, nie może być dowodem, że oparty na nich wniosek jest poważną prawdą, gdyż nie masz nic łatwiejszego, jak z mnóstwa faktów najróżnorodniejszych wydzielić pewną kategoryę jednorodnych. Są przecież latające ryby, a wszakże nie jest to dowodem, że ryby latają. Przykładów tego rodzaju można zebrać tysiące.

Zapewnie, wyosobnienie faktów jednorodnych jest już krokiem nieomylnie naukowego charakteru, ale krokiem zaledwie dopiero pierwszym, a w stosunku, jeżeli już nie do ostatecznego rozwiązania, to przynajmniej do podniesienia pytania w należyty sposób—zaledwie pierwszą próbą,

---

Z KRONIKI MŁODOŚCI.

O N A.

III.

Jako wiele obiecujący krytyk jednego z pism warszawskich i dla tego pobierający aż grosz od wiersza chętnie drukowanych artykułów, mieszkałem do współki z tyleż obiecującym i tyleż cenionym kolegą w dwu pokoikach na trzecim piętrze, w olbrzymim domu przy ulicy Wielkiej, której nazwa była jedynem zadowoleniem naszej głodnej sławy. Gdym zapalił świecę, spostrzegłem Henryka, stojącego nieruchomie na środku pokoju z oczyma utkwionemi w podłogę.

— Rozbierz się i siadaj—prosiłem.

Zdjął palto i rzuciwszy się na najbliższe krzesło, zapytał:

— Czy jesteśmy sami?

— Zupełnie.

— Bo widzisz — rzekł jakimś przykrym tonem — jeżeli ty jesteś już niepotrzebnym spowiednikiem moich wyznań, to tem bardziej zbytecznym byłby jeszcze ktoś drugi.

— Ależ mój drogi — zauważyłem zdziwiony—ja wcale żadnych od ciebie wyznań nie żądam.

— Mimo to przyszedłem tu, ażeby się przed tobą z pewnych grzechów mojego serca wyspowiadać; nie dla tego, że chcę, ale dla tego, że muszę.

Umilkliśmy na chwilę.

— Czy nie mógłbyś mnie i siebie uwolnić od tych przykrych zwierzeń? — spytałem zakłopotany.

— Nie — odrzekł Bukowski i znowu zamilkł.

Blada jego twarz to obciągała się chmurami, to rozjaśniała ironicznym uśmiechem. Czasem robił wrażenie człowieka zbolałego, który ma przed cudzem okiem odsłonić jakąś głęboką ranę, a czasem znowu dumnego, który ma odkryć upakarzającą tajemnicę.

— Jeżeli chcesz mnie zrozumieć — rzekł wreszcie z wysiłkiem—pamiętaj zawsze, że jestem marzycielem nadzwyczajnie wrażliwym. Ludzie otrzymują od natury rozmaite serca: jedni tak twarde, że uczucia zbierają się w nich jak para w metalowych kotłach, której nadmiar może je rozerwać, ale nigdy rozszerzyć; inni znowu tak elastyczne, że każde silniejsze tchnienie rozdyma je, jak gumowe balony. Takie właśnie, rozdęte, wielkie ale wątłe serce, prawdopodobnie w spadku po matce, ja posiadam. Ukłuj je najdelikatniejszą szpilką, opadnie puste, do powtórnego napełnienia niezdatne.

Przerwał, widocznie strudzony, i znowu żywiej mówić zaczął.

— Nazywano mnie zawsze zimnym i złośliwym. Nic dziwnego; dopóki gawrony, składające połowę ludzkiego rodu, nie wykąpią się w wodzie, przypuszczają zapewnie, patrząc na nią zdala, że ją szlifować można. Byłem zimny, ale przy zetknięciu się z rzeczywistością, która moje rozpalone marzenia mroziła; byłem złośliwy, bo strzegłem przed zniewagą i rabunkiem skarbu uczuć moich. Język jest mieczem, którym bronisz dostępu do swej duszy złodziejom i mordercom a którym z przyjaciółmi, zwłaszcza gdy ona jest pusta, obierasz spokojnie karbunkuły do codziennego pokarm.

Ten dziwny, dosadnemi porównaniami naładowany wstęp, jeszcze bardziej pobudził moją uwagę. Niecierpliwie też oczekiwałem właściwych wyznań Bukowskiego.

— Przed pięciu laty — rzekł on po długiej przerwie—dobry, czy zły los sprowadził mnie pewnego wieczoru do teatru. Usiadłszy w krześle, spostrzegłem niedaleko w loży parterowej obok podstarzałej kobiety drugą bardzo młodą, do której siedzący po za niemi, średniego wieku mężczyzna coś z zajęciem szeptał. Ona, nie

gdyż późniejsze dedukcye często nielitościwie niweczą całą tę pierwszą pracę—zaledwie pierwszem usiłowaniem, prowadzącem wszakże do nieskończenie oddalonego celu—prawdy bezwzględnej.

Kilka prawd, dotyczących życia duszy,—prawd tego rodzaju, to jest polegających na jednostronnej indukcyi, mam zamiar zestawić w niniejszym szkicu. Każda z nich jest pewną w stosunku do faktów, z których powstała, wszystkie wszakże, razem rozważane we wzajemnym do siebie stosunku, stają się zaprzeczeniem każdej zosobna. Mam na względzie zjawiska, dotyczące *pamięci, odruchów, pracy organizmu i wydatku na wykonywanie tej pracy*, którego wyrazem odwrotna przemiana, dysymilacya cząstek.

Biorąc fakty, jak one się nam przedstawiają, bez względu na ich przyczynę, widzimy, że pamięć wrażeń zmysłowych tem jest długotrwalszą, im wrażenia te są potężniejsze, im bodźce zewnętrzne silniej na nas działają. Takiemi są wrażenia pierwsze w swoim rodzaju, to jest w stosunku do duszy naszej bezwzględne i świadome. Wrażenia te pozostają w naszej pamięci na zawsze. Naodwrót względne, to jest przed tem już znane, czyli takie, które już niejednokrotnie w nas powstawały, jeżeli są nieświadome, a takiemi (z bardzo małym wyjątkiem) niemal są zawsze, nie pozostawiają nigdy prawie po sobie w nas śladu (psychicznego), przynajmniej widocznego. Rzadko kiedy możemy je sobie przypomnieć i to do tego stopnia, że w stosunku do naszej świadomości znaczą tyleż, co i wrażenia, ktorycheśmy nigdy nie doświadczali. Prawdy te starałem się uzasadnić w rozprawie o *Mnemonice*, do której też odsyłam czytelnika [1]). Chodzi mi głównie o to, żeby uprzytomnić fakt, iż najdłużej pozostają w pamięci, omal nie nazawsze, a najczęściej nawet na życie całe wrażenia pierwsze w swoim rodzaju i to tem barдziej, jeżeli są silne—przyjemne lub nieprzyjemne.

Obok tych faktów należy mieć na względzie fakty, dotyczące odruchów. Na każdą podnietę zewnętrzną, wywołującą w nas wrażenie, organizm odpowiada odruchem, starając się zastosować do zewnętrzności. Jeżeli wrażenie jest przyjemne, organizm przysposabia się do przedłużenia go nadal, jeżeli jest nieprzyjemne, stara się usunąć przyczynę, która je sprawia. Objaśnię to przykładami. Rozgryzłszy jagodę tarniny, rozmaitymi sposobami staramy się pozbyć nieprzyjemnego smaku. Możemy to wywnioskować z zachowania się naszego—twarz skrzywiona, usta ściągnięte, język skurczony, wypluwanie śliny, ruchy rąk, któremi niby odsuwamy coś nieprzyjemnego—słowem cała postać dowodzi nieprzyjemnego wrażenia, od którego organizm stara się usilnie obronić. Zupełnie inaczej zachowuje się dziecko—a dzieci, jak wiadomo, są czulsze na wrażenia smaku od dorosłych; gdy dostanie cukierek, cała jego postać dowodzi chęci rozkoszowania się jak najwięcej i najdłużej przyjemnem wrażeniem. Poczuwszy smrodliwy zapach, krztusimy się, oddmuchujemy od siebie woń nieprzyjemną, odpędzamy ją ruchem rąk, ściągamy nos, jakoby dla zmniejszenia powierzchni, na którą wywiera nieprzyjemne wrażenie odór; przeciwnie, wąchając różę, staramy się wciągnąć jej zapach, o ile można najgłębiej, nos się rozszerza, a cała twarz wyraża chęć przedłużenia przyjemności. Błyskawica zmusza nas do zamknięcia oczu, przeciwnie kolor nieba i roślinności w czasie pogodnego dnia mimowoli zatrzymuje na sobie nasz wzrok, sprawiając nam przyjemność. Głośny, a szczególnie nagły wystrzał zmusza nas do różnych poruszeń, dowodzących przestrachu i chęci ratowania się od nieistniejącego wcale niebezpieczeństwa. Podobnie też zachowujemy się na publicznych zabawach przy rozpoczęciu muzyki orkiestrowej: bardzo wiele osób nagle się obraca, wiele się podnosi, prawie wszyscy mają przez chwilę zdziwione miny, za to po niejakim czasie, osobliwie jeżeli sztuka jest ładna, miłośnicy jej skupiają całą uwagę w słuch. Warto robić spostrzeżenia w czasie koncertów: przymknięte oczy, podniesiona głowa, wyraz twarzy, dowodzący oczekiwania i chęci nieprzepuszczenia ani jednego tonu, twarz uśmiechnięta lub smutna, stosownie do charakteru muzyki—wszystko to świadczy o odczuwaniu przyjemności i zdradza chęć przedłużenia jej. Najwyraźniej jednak dają się spostrzegać odruchy na skutek wrażeń dotykowych. Ukłucie lub sparzenie palca zmusza nas do cofnięcia całej ręki, do poruszeń, które mają na celu usunięcie z obrażonego miejsca przedmiotu, sprawiającego ból. Człowiek śpiący, a więc nieposiadający zgoła świadomości, opędza się przecież od dokuczliwych much, stara się też odepchnąć piórko, którem mu przez żart łaskoczą twarz. Działające na obnażone ciało zimno wywołuje gęsią skórkę; przeciwnie głaskany kot najeża się, podnosi grzbiet, jakoby chciał rozszerzyć i powiększyć swą objętość, doświadczyć jak największej przyjemności, na jak największej powierzchni. Warto patrzyć na kąpiących się w letniej i przyjemnie działającej na rozegrzane upałem ciało wodzie: widok tych podskakujących, pluskających się, zanurzających się i rzucających ciał najwyraźniej świadczy o wysokiej przyjemności, a rozmaite pocieszne wybryki są niczem innem, jak odruchami, dowodzącymi przyjemnych i pożądanych wrażeń.

Przytoczone przykłady przedstawiają szereg odruchów elementarnych, prostych. Kojarzenie się jednak wrażeń wskutek pewnego jednego, zewnętrznego bodźca, potęguje jeszcze bardziej odruch. Wszyscy znamy dobrze rumieniec wstydu, puls przyśpieszony, bicie serca, ruch kiszek wskutek przestrachu, rozrzewniający wpływ muzyki i tym podobne stany, jako skutki wpływu na nas zewnętrzności zupełnie już pośredniego charakteru; bezpośrednie bowiem następstwa wrażeń. wywołujących podobne złożone odruchy, zazwyczaj bywa-

[1]) Str. 25—55.

---

odpowiadając mu wcale, wodziła wesołemi oczyma po teatrze, a zauważywszy, że pilnie się jej przypatruję, zatrzymała je dłużej na mnie. Nie chcę zbyt obnażać swego serca, więc nie będę cię szeroko zaznajamiał z tem pierwszem jego odurzeniem. Dość, że doznałem jakiegoś zamętu w głowie, przed wzrokiem zawisła mi mgła, zapomniałem o przedstawieniu, o przyzwoitości, z natrętctwem igły magnesowej zwracałem się ustawicznie do niej, olśniony, drżący, nieprzytomny. Wyobraźnia rozwieszała przed moją myślą najrozkoszniejsze i najboleśniejsze obrazy. Raz ukazywała mi tę kobietę w świetle spełnionych marzeń, to znowu w mrokach męczeństwa, wreszcie na niedostępnych dla mnie wysokościach społecznego tronu. Pod wpływem tych zmieniających się obrazów omdlewałem z rozkoszy, konałem z boleści lub drętwiałem z przerażenia. Dreszcz mną zatrząsł, gdy, odzyskawszy na chwilę świadomość swego stanu, pomyślałem, że może cały ten gwałtowny przypływ uczucia nie będzie miał żadnego ujścia i wiecznie burzyć się będzie, zamknięty w mej piersi. Ach, gdyby wtedy oberwał się był świecznik, który wisiał nademną, i roztrzaskał mi głowę!... Nie śmiej się, bo wybiegłszy z teatru, otrzeźwiony świeżem powietrzem, sam się gorzko rozśmiałem... Głupia duszo — powiedziałem sobie—ty tafło fotograficzna, odciskasz na sobie obraz nieznanej, po raz pierwszy widzianej kobiety, która może... Nie śmiałem jednak dokończyć tej przestrogi obudzonego rozumu, bo on całkiem płomienia nie ugasił. Najsilniej wydarte uczucia pozostawiają w pamięci korzenie, z których na nowo odrastają. Mimo więc wszelkich wyrzutów i uwag rozsądku, nietylko nie mogłem zadusić w sobie wspomnienia, ale nawet widziałem, że ono ciągle się odradza. Zacząłem unikać ludzi, towarzystw, miejsc publicznych. Upłynął rok, który mnie nieco uspokoił. Przechodząc razu pewnego Ogród Saski, spostrzegłem w równoległej alei owego mężczyznę z loży, prowadzącego kobietę. Zapomniałem o wszystkich postanowieniach i zbliżyłem się spiesznie. Była to rzeczywiście ona: blada, z widocznymi śladami choroby na zmęczonej twarzy, śród której żarzyły się tylko spotęgowanym blaskiem piękne, głębokie oczy. Wesołe i żywe dziewczę zmieniło się na poważną kobietę. Spojrzała na mnie tak obojętnie, jak na mijany słup przy drodze. Kto ona jest? Po raz pierwszy to pytanie i tylko to pytanie owładnęło wszystkiemi mojemi myślami. Gdyby wtedy znalazł się był człowiek, zdolny mi na nie odpowiedzieć, byłby mnie może wyrwał z tego miłosnego kokonu, który na około siebie oprzędłem i w którym powoli zasycham.

— Dla czegóż nie wyśledziłeś tej kobiety—przerwałem — nie starałeś się dowiedzieć o jej nazwisku, poznać?

Uśmiechnął się smutnie.

— W tem — rzekł — tkwi właśnie tajemnica mojej natury i mojej miłości. Zrobiłby to człowiek, słabiej odczuwający wrażenia i mniej rozmarzony. Zanim myśli moje nabrały energii do chodzenia po ziemi, już je wyobraźnia uniosła do nieba. Nie mając na razie żadnego objaśnienia, prócz kilku w lot schwytanych i dowolnie wytłomaczonych spostrzeżeń, pozostawiony sam na sam z zagadką, zacząłem ją rozwiązywać tak, jak mi serce doradzało. Rzuć w gorącą duszę tylko obraz pięknej kobiety, a z pewnością narodzi się w niej anioł. A gdy on się narodzi, zamkniesz go i strzedz będziesz, ażeby mu rzeczywistość nie odłamała skrzydeł i nie poplamiła szat białych. Wszyscy ludzie są o tyle piękni, o ile mniej poznani. Huryski machometańskiego raju dla tego tak urocze, że mają na ziemi twarz zasłoniętą. Natura dała nam wyobraźnię, ażebyśmy ozdabiali jej twory. Gdyby zwleczono całą tunikę z Fryny, gdyby na wskroś prześwietlono jej ciało, zamiast uniewinnić z zachwytu, sędziowie potępiliby ją z odrazy. Sparta nie znała idealnej miłości, bo jej dziewczyny z chłopcami gimnastykowały się nago na publicznych placach.

ją prostsze, to jest mniej złożone. Tak np. muzyka, działając bezpośrednio na organ słuchu, budzi wrażenia przedewszystkiem słuchowe; znane są przecież fakty wpływu jej na organa płciowe. Muzyka—zdaniem D-ra Raciborskiego [1])—wpływa na przyśpieszenie płciowej dojrzałości u dziewcząt, a jak mniema Darwin—źródło muzyki należy upatrywać w doborze płciowym, w chęci przypodobania się—słowem, w śpiewie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Feliks Bogacki.

[1]) *De la puberté et de l'age critique chez les femmes* Paryż, 1844.

Badania dziejowe.

Stanisław Poniatowski, kasztelan krakowski, ojciec Stanisława Augusta, przez Klemensa Kanteckiego. Poznań, 1880 r. 8-a, tom I str. X, 232; tom II str. 139 i CIV.

Monografia p. Klemensa Kanteckiego, zapowiadająca w tytule życiorys ojca Stanisława Augusta, przedstawia właściwie obraz stosunków politycznych Polski w pierwszej połowie XVIII wieku, o ile w nich bezpośrednio lub pośrednio St. Poniatowski brał udział. Lubo z natury cząstkowy, jednakże ów obraz, na nieznanych oparty źródłach, odsłania nieraz widoki nowe i z tej przyczyny przez dziejopisa epoki sasów, jako materyał bogaty i ważny, uwzględniony być musi koniecznie. Jeżeli jednak przez nakreślenie *obrazu*, złożonego ze szczegółów, będących często z osobą Poniatowskiego w związku dość luźnym, książka p. Kanteckiego zyskuje na wartości ogólnej, to z drugiej strony, jako życiorys, w znaczeniu charakterystyki wydatnej osobistości, traci niemało. W monografii tego rodzaju stosunki ogólne tłem być powinny, nie zaś sprawą naczelną; dany bohater na falach tła tego płynąć powinien, nie zaś tonąć w odmęcie. Tymczasem w pracy p. Kanteckiego Poniatowski w nawale materyału często nam ginie, a z pożądaną dla poznania człowieka wyrazistością nie odsłania się nigdy. Zawinił tu niewątpliwie naprzód materyał, który nie na wszystkie momenta życia i nie na wszystkie strony charakteru bohatera rzuca światło obfite; zawinił również i autor, że szczegółów, odnoszących się wprost do charakterystyki Poniatowskiego, należycie nie skupił i nad inne kwestye nie wyniósł. Zresztą i światło, w jakiem ojca St. Augusta p. Kantecki przedstawił, wydaje nam się przesadnem i niedość zgodnem z faktami.

Przyjaciel poróżnionych z Augustem II Sapiehów, uchodzi wraz z nimi do obozu Karola XII i zyskuje względy mocarza. W sprawie Leszczyńskiego jako dyplomata i żołnierz pracuje i walczy, aż po upadku króla szwedzkiego zostaje gubernatorem Dwóch mostów. To faza pierwsza. Po śmierci Karola XII powraca na dwór Augusta II, którego niecnym widokom służy gorliwie. Żeni się z Czartoryską; przez różne przeszedłszy stopnie, zostaje podskarbim w. lit. i generałem gwardyi koronnej, regimentarzem i wojewodą mazowieckim. To faza druga. Po śmierci Augusta II myśli o berle i z nieprzyjaznymi *familii* Potockimi się godzi; zrozpaczywszy o sobie, popiera Leszczyńskiego, z którym chroni się w Gdańsku. Gdy za wpływem sąsiednich potencyi elektor saski zyskał przewagę,—Poniatowski przerzuca się na stronę Rosyi i przyjaciół króla Stanisława zachęca do uznania Augusta III. Od tego czasu, jako filar *familii*, toczy walkę ze stronnictwem hetmańskiem; zamierza rzeczpospolitę reformować, aż, otrzymawszy kasztelanię krakowską, z pola publicznego schodzi zupełnie.

Karyera bohatera oczywisty przynosi dowód, że Poniatowski niepospolicie był zdolnym; lecz jednocześnie naprowadza na wniosek, że dla osobistego wyniesienia nie zawsze moralnych używał środków i nigdy podobno dla zasady i dobra publicznego nie poświęcał spraw własnych. Tymczasem autor przedstawił Poniatowskiego w świetle dziwnie różowem: usprawiedliwić się stara każdy czyn jego, najwyraźniej nawet dwójznaczny; podziwia krok każdy i uwielbia w ojcu St. Augusta człowieka, interesom narodu i państwa oddanego bezwzględnie. Po poddaniu się Gdańska, Poniatowski, według autora „zrozumiał natychmiast, że... trzeba pozyskać życzliwość petersburgskiego dworu, nie chcąc sobie i swoim zamknąć zupełnie drogi do publicznego działania i wpływu na losy państwa“ (II, 13). Samolubstwa w tym postępku nie widzi, albowiem bohaterowi jego „chodziło zawsze przedewszystkiem o praktyczne następstwa każdego kroku i o korzyść, jaka z niego wypłynąć mogła dla kraju“ (II, 15). Choćbyśmy się nawet z autorem zgodzili, że „mąż stanu, przekonawszy się namacalnie, iż nie rozbije muru głową“, nie ma obowiązku „dla *popisania się* (?) własną *niezłomnością* przedłużać nieszczęścia i klęski“ narodu (II, 20),—to przecież ciekawiśmy mocno, zkąd się autor dowiedział, że Poniatowski pod wpływem takich właśnie pobudek stawiał swe kroki? Czyżby własne jego zapewnienia „że jedynie z miłości dla ojczyzny i dobra publicznego stara się dawniejszych przyjaciół politycznych zjednać dla Augusta III“ (II 19) wystarczały za dowód? Zdaniem naszem, p. Kantecki nie dość oględnie pod czyny Poniatowskiego podkłada pobudki bezwględnie czyste i z tego powodu charakter jego przedstawia fałszywie. Czyż to przemawia za mężem stanu, że „przy każdej sposobności zasypywał swego protektora (Birena) oświadczeniami, które nas dziś rażą zbytnią uniżonością i jaskrawą w grzecznościach przesadą“ (II, 17)? Wprawdzie autor zapewnia, że „haracz ten składa zwykle dla ważnych realnych korzyści“ (II, 55) np. w celu otrzymania wynagrodzenia za szkody, zrządzone mu przez wojska rosyjskie w pochodzie do Turcyi;—jednakże, według naszego na moralność poglądu, nawet owe *ważne realne korzyści*

— Ależ mój Henryku—zawołałem—nie wymagając za wiele, mogłeś jednak przy poznaniu tej kobiety znaleść w niej bardzo dużo.

— Albo nic—odparł gorączkowo. Kto mi za to poręczy? Ja ją w samotnych marzeniach moich wypieściłem, ona jest dla mnie wcieleniem wszystkich cnót i uroków, światłem mojego życia, a tymczasem może to tylko piękny zraz podany do spożycia bogatemu panu, może cudownie opierzona gęś, może naładowana namiętnościami maszynka, elektryzująca martwych rozpustników. Wierz mi, najrozumniejszym kochankiem był Don Kichot, który z prostej dziewki wyidealizował sobie najwznioślejszą istotę.

— Błąd twój i osnute na nim dziwactwa—wtrąciłem znowu—oparte są na przesadzie. Dla czegóż ona ma być czemś najgorszem, a nie, przypuśćmy—dobrem? Weź prawdopodobieństwo przeciętne, ludzkie...

— I ono ma dość kolców — odparł wzgardliwie. Posłuchaj. Zdarzyło ci się zapewnie spotkać kobietę, która cię samym swoim widokiem oczarowała. Patrzysz na nią, podziwiasz, z jej oczu przegląda niewinność, na jej ustach drga uczucie, spodziewasz się w niej wszystkiego, co tylko marzenie twoje zapragnąć może. Czy nie lękasz się wtedy, ażeby z tych koralowych ust nie wybiegło niedorzeczne słowo? Gdy usłużny znajomy, spostrzegłszy twoje zajęcie, podejdzie i powie: podobała się panu młoda żona starego radcy, która tyle kosztuje swych wielbicieli, że na dzisiejszą jej toaletę aż trzech podobno się złożyło—czy wtedy nie doznasz przykrości? Czy nie zgrzytną ci w uszach słowa, gdy usłyszysz o innej: dobra dziewczyna, szkoda tylko, że ojciec ukradł majątek nieletnich? Słowem, jedną byś kochał, gdyby jej przodek psów nie łapał, drugą—gdyby jej matka z oficerami nie uciekała za granicę, trzecią—gdyby nie należała do pewnego wyznania—a nie ma takiej, któraby, jeżeli nie w sobie, to około siebie nie posiadała jakiejś skazy, lub wreszcie jakiegoś ograniczenia dla twych uczuć. I ty chcesz, ażebym ja dziś dowiedział się kto ona? Kimkolwiek jest, nie jest w rzeczywistości moim ideałem. Nie szukając nigdy, spotykam ją od lat pięciu ciągle: widywałem ją w najrozmaitszych usposobieniach i sytuacyach, z których zawsze zdjąłem jakąś dla niej ozdobę, które jednak mogły również przekonywać, że ona nie jest niewinną, czułą, rozumną, zacną a nawet.. polką. Kochać można tylko obrazy ludzi, ale nigdy ich wnętrzności, kochać można jedynie kobiety, wyrwane ze stosunków rzeczywistych, bez nazwiska, bez rodziców, bez religii, bez narodowości, bez wszystkiego, same, wyjęte z ram, od których na nie czasem cień pada. Rozumiesz teraz, dla czego nie chcę nic o niej wiedzieć? Wyspowiadałem się zaś przed tobą dla tego, że przyjąłeś zaproszenie pułkownikowej, że ją u niej poznasz, że mógłbyś nieopatrznem słówkiem ukłuć ten wydęty miłością balon, który się zwie mojem sercem. Najśmieszniejsze dziwactwo jest dla kogoś równie potrzebnym organem życia, jak dla innego najpoważniejszy rozum. Gdybyś więc po tem wyznaniu chciał mnie kiedykolwiek w tem dziwactwie skaleczyć, zmieniłbym wagę szacunku, który mam dla ciebie, na wagę wzgardy.

To rzekłszy, podał mi rękę i wyszedł.

Długo rozmyślałem nad tą tajemnicą i groźbą. Opamiętawszy się, mimowoli zawołałem:

— Pójdę do pułkownikowej i muszę się dowiedzieć, kto *ona!*

(Dokończenie nastąpi).

W. Okoński.

usprawiedliwić czynu nie mogą. Kiedy matka z pobudek szlachetnych nie chciała zezwolić na wyjazd syna nad Newę,—kasztelan krakowski z całą stanowczością zdecydował przeciwnie (II, 127); młodego St. Augusta rzuca na pole karyery bez uwzględnienia natury środków i w tym wypadku najdokładniej może obnaża tak swój charakter, jak cele.

Nie możemy z autorem „podziwiać i uwielbiać“ Poniatowskiego, jako człowieka zasad; z drugiej znów strony nie chcielibyśmy przeceniać z p. Kanteckim tych zasług, jakie bez względu na pobudki nasz bohater spełnił dla państwa. Sypie pieniądze rosyjskie dla przeciągnięcia konfederatów Leszczyńskiego na stronę Augusta;—według autora było to „z jego strony zarówno czynem dobrze zrozumianej miłości kraju, jak chrześcijańskiego miłosierdzia, bo Leszczyński, wyjeżdżając do Francyi, zostawił swych przyjaciół tak zadłużonych i pogrążonych w nędzy, że o mało nie umierali z głodu“ (II, 49). W obcej dla Polski sprawie, jako poseł saski, wyjeżdża do Francyi:—według p. Kanteckiego zrobił to w tym celu, żeby zaskorupioną w leniwej apatyi rzeczpospolitę wyrwać z martwoty i do udziału w ogólnej politycznej akcyi powołać (II, 67). Nie przeczymy, że Poniatowski wraz z *familią* dużo około reform pracował i mądre względem podźwignięcia rzeczypospolitej układał plany; jednakże nie mamy danych, iżby męża tego uważać za domniemanego zbawcę ojczyzny (II, 13) i nie możemy czynów natury wątpliwej do wysokości publicznych zasług podnosić. Sądzimy, że p. Kantecki przez usprawiedliwiony zapał dla stronnictwa reformy w sposób tak krzycząco pochlebny Poniatowskiego przedstawił, jak z drugiej strony z pobudek odwrotnych dla partyi przeciwnej, mianowicie przy charakterystyce Józefa Potockiego (II, 59) i Tarły (II, 94 etc.), nie szczędził barw ciemnych. Sponiewierał przez to prawdę dziejową, ale też skrzywdził i siebie. Przez doktrynerię, niemiarkowanie zapału i płytką analizę człowieka, oddał serce postaci, której charakter słonecznym nie jest.

Przechodząc od charakterystyki bohatera do szczegółów, śmiemy zrobić uwagę, że czytelnik, nieobznajmiony z dziejami gruntowniej, nie zrozumie spraw wielu dla braku wstępu, któryby ogólną sytuacyę polityczną w chwili wystąpienia Poniatowskiego przedstawił. Materyału do historyi rodziny w książce p. Kanteckiego znajdujemy tak mało, że nie dowiadujemy się nawet, z której Poniatowscy pochodzą prowincyi. Bez żadnych dowodów lokuje ich autor w województwie krakowskiem (I, 4), chociaż Ciołkowie Poniatowscy w XVI w. znani byli w Mazowszu (*Kwartalnik Kłosów* II, 85). Zestawia niekiedy autor sprawy bez związku. Że Poniatowski i Michał Czartoryski wystawili Augustowi II zobowiązanie popierania do tronu młodego Fryderyka Augusta,—daje to autorowi po chop do adorowania tych panów, a do wyrzekania na *liberum veto* (I, 100), które ze sprawą tamtą związku nie ma żadnego. Do dziejów podwójnej elekcyi po śmierci Augusta II nie są bez wagi *Prawdziwe y konwinkujące racye* (in 4 bez m. i r. sign. F. 2), które na wzajemny stosunek stronnictw światła rzucają sporo.

Wł. Smoleński.

BOLESŁAW CHROBRY.

POD PIÓREM DYTMARA.

III.

W jakiś czas potem wysłańcy od lutyków i księcia Jaromira donieśli Henrykowi „o niebezpiecznych zamiarach przeciw niemu przez Bolesława knowanych.“ Król przeto wyprawił zięcia bolesławowego, margrabiego Hermana „z wypowiedzeniem“ niedawno zawartego „pokoju.“ Książę polski poselstwo to przyjął niechętnie, i usprawiedliwiającą przemowę temi zakończył słowy: „widzi Chrystus, świadek najlepszy wszystkiego, że tego, co odtąd zrobię, dopełnię nierad bynajmniej.“ „Jakoż, nie czekając, zgromadził wojsko i spustoszył ziemię moraczanów pod Magdeburgiem. Ztamtąd pomknął ku miastu Zerbst i mieszczan, srogim postrachem i łudzącą namową pokonanych, z sobą uprowadził.“ Odwetu ze strony niemców tym razem nie było. Szczupłe jakieś siły pod dowództwem *niezapobiegliwego* arcybiskupa Tagionona, z towarzyszącym mu Dytmarem, doszły do Jutrybogu, i nie ujrzawszy nawet nieprzyjaciela, wróciły do ojczystych dziedzin. Tymczasem (1007 r.) Bolesław zagarnął nanowo Łużyce, Zarę, ziemię slubian. Budyszyn, oblężony przez polaków, po krótkiej obronie, kapitulował (24). Echa zatargu Bolesława z władcą niemieckim domyślać się jeszcze można w ogólnikowej wiadomości o psotach feodalnych, jakie Teodoryk, biskup metoński, wraz z dukiem bawarskim Henrykiem „zrządzili królowi i przyjaciołom jego“ (35). Czynną rękę księcia polskiego zdradza również zwada komesa Hermana z bratem Bolesława, margrabią Guncelinem o grody łużyckie (Miśnię). Guncelin przegrał sprawę przed sądem królewskim. Marchię miśnijską miał otrzymać w spadku po nim, antagonista, zięć bolesławów, Herman (36). Nim to nastąpiło, polacy kusili się napróżno o wzięcie Miśnii. Książe polski na wieści o skutkach zamachu oczekiwał w Budyszynie. „Król rozmyślając długo nad pomszczeniem szkód,“ od sąsiada wschodniego doznanych, zdobywa się około wielkiej nocy 1011 r. na nową ekspedycyę (37). Wyprawieni naprzód pod hasłem pokojowem orędownicy (duk Bernard i proboszcz magdeburski Walterd) powrócili z niczem. Zastępy niemieckie i czeskie, niosąc rabunek i pożogę, powolnym marszem zmierzały ku Głogowu, gdzie w wyczekującej postawie przebywał Bolesław. Najeźdźcy w szyku bojowym paradowali pod murami szląskiego grodu. Rycerstwo polskie rwało się do boju,—książę je powstrzymywał. Niemcy poprzestawszy na tem, złupili okolicę i zatrąbili radośnie do odwrotu (38). Chociaż król w Merseburgu zawarł pięcioletni rozejm z Bolesławem (39), sprawa z podstępnym słowianinem leżała mu ciągle na sercu: traktował o niej ze zgromadzonymi książętami w Gronau, (czerwcu 1012 r.) po zamianowaniu proboszcza Walterda arcybiskupem magdeburskim (44). Niebawem Bolesław odezwał się sam z prośbą o pokój, a Walterd wystąpił w roli pośrednika. Porozumienie wszakże nie nastąpiło. Przy schyłku lipca przedsięwzięto zamierzoną wyprawę; ale wodzowie, bojąc się widać następstw śmielszego pochodu, wzmocnili jedynie załogi w marchii miśnijskiej. Sprawy czeskie dają powód do nowych powikłań. Trzebieniec Jaromir, wypędzony przez Udalryka, szuka schronienia u Bolesława, a potem w Giebichenstein żebrze u łoża konającego arcybiskupa Walterda o protekcyę do króla i pomoc panów niemieckich (45). Bolesław niebawem „na wieść o zgonie Walterda“ (który nie miał się podobać Henrykowi, a na stolicy arcypasterskiej 7 tygodni tylko zasiadał) zebrawszy wojsko, przypadł pod Lubuszę i rozłożył się obozem nad brzegami wezbranej Elby. „Jego walecznicy do boju wystąpili śmiało, obrońcy słaby tylko opór stawili...“ Zdobywca wkroczywszy do miasta, złupił je, spalił, a znakomitszych obywateli grodu uprowadził z sobą, jako jeńców (48). Odpowiedzią na to z strony króla, działającego w zachodniej stronie państwa, był przysłany panom saksońskim rozkaz rozłożenia się obozem nad Muldą (49). Za przybyciem Henryka, Jaromir, oczekujący pokornie na łaskę monarchy, został ukarany więzieniem „w odwecie za rzeź okrutną, przezeń na bawarczykach popełnioną, którzy bez królewskiego i bez jego zezwolenia z darami do Bolesława się byli wybrali, tudzież za zniszczenie wojsk sobie powierzonych. Nasi nieprzyjaciele (mówi Dytmar) słysząc o tym wypadku, śmieli się z urąganiem...“ (50). Król zawarlszy w Harneburgu „traktat pokoju z napływającymi zewsząd słowianami, pośpieszył nawiedzić prowincye zachodnie (51).“ W jakiś czas potem Bolesław wyprawia do przebywającego w Alstädt Henryka orędowników z prośbą o zawarcie pokoju i obiecuje przysłać w tym celu syna swego *Mieszka*. Niebawem też do Magdeburga (gdzie Henryk przebywał) zjeżdża Mieszko z bogatymi dary,—pasowany na rycerza, zaprzysięga wierność, i oddala się „z czcią wielką a zachętą do odwiedzin nowych“ (luty 1013 r.). Niezależnie od tego wypadku, krążą współcześnie wieści, że panowie sascy (Werinharz Ekkihardem) knują w porozumieniu z Bolesławem jakieś przeciwne dobru monarszemu plany. Gdy oskarżeni nie śmieli stawić się przed oblicze króla, ogłoszono ich winnymi obrazy majestatu, a dobra ich w sekwestr wzięto (54). W samą wigilię zielonych świątek r. 1013, po latach jedenastu, ujrzał znów Merseburg w swych murach księcia Bolesława. Ubezpieczywszy się danymi ze strony niemców zakładnikami, których w domu u siebie zostawił, władca polski nader gościnnie był przyjęty: został nawet rycerzem królewskim, sprawował funkcyę miecznika (czy giermka) przy Henryku podczas uroczystej do kościoła procesyi, a w końcu, oprócz innych darów „otrzymał dawno pożądaną lenność.“ (Krótka wzmianka o wyprawie ruskiej Bolesława, wspartego posiłkami

niemieckimi) (55). Zadziergnięty węzeł zgody był tylko pozornym. Gdy bowiem Henryk przedsięwziął ekspedycyę wojenną do Włoch, Bolesław, zobowiązany poprzednio do posiłkowania go w tej wyprawie, ani myśli o urzeczywistnieniu obietnic; przez rozesłanych natomiast ludzi dowiaduje się o powodzeniu Henryka i, o ile może, powiększa poczet jego przeciwników. Tu autor pod wrażeniem przewrotności demona swej kroniki wydaje okrzyk zgrozy i skreśla dość charakterystyczną uwagę o jego metodzie moralnej: „Ilekroć albo sam się poczuwa, albo przez którego z wiernych chrystusowych bywa upomniany, iż nagrzeszył wiele, każe przed sobą rozkładać kanony, po oświeceniu się zaś, wedle otrzymanych wskazówek, zmierza do zadość uczynienia za występki swoje.“ Rys, przypominający o kilka stuleci późniejszego Ludwika XI i wielu innych podobnego typu mocarzów średniowiecznych (56). W związku z tą refleksyą Dytmara jest niemal bezpośrednio zapisana wiadomość o apostole prusaków, Brunonie, którego ciało wykupuje Bolesław „na przyszłą domowi swemu pociechę“ (58).

Księgę VII rozpoczyna kronikarz radosną wzmianką o koronacyi w Rzymie (d. 14 lutego 1014 r.) swego ukochanego bohatera, wskrzesiciela dyecezyi merseburskiej (patrz r. 1 ks. VI). Dotąd nazywał go królem, odtąd zwać go będzie cesarzem (1).

Uspokoiwszy pozornie Lombardyę, w której za odejściem Henryka podniósł na nowo głowę Harduigus, odwiedził cesarz, po zstąpieniu z Alp, przyległe im krainy, i podążył śpiesznie do swego „ogrodu rajskiego.“ W Merseburgu wystawił wiernej radzie w odpowiedniem świetle sprawę Bolesława i zażądał „aby go jednomyślnie do usprawiedliwienia się albo powetowania swej winy wezwali“ (5). Wyraźnych skutków tej woli cesarskiej u Dytmara nie widać. Traktowanie wszakże dawnym trybem o pokój ponawia się z wiosną, gdy do Merseburga, wraz z margrabią Hermanem, podwakroć przybywa chytry agent bolesławowski, Stojgniew. Rokowania z tym „podszczuwaczem zdradzieckim“ (Stojgniewem) nie wydały owocu; książę zaś polski, wezwany przez Henryka, „stanąć nie chciał, ale domagał się przełożenia sprawy na ogólnem zebraniu naczelników państwa (6). Mieszko tymczasem, posłany przez „wyćwiczonego w lisiej chytrości“ ojca do Czech, w jawnym celu zawiązania sojuszu przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, doznał smutnego losu więźnia... Cesarz upominał się o „swego rycerza“ Udalryk nie odpowiedział z razu stanowczo, ale na powtórne, usilniejsze żądanie—odesłał monarsze niemieckiemu srogiego zakładnika. Bolesław śle do cesarza wraz z podzięką prośbę o wydanie syna. Henryk wyraża tymczasową niemożebność, żąda osobistego przybycia do Merseburga, obiecuje odwołać się do rady książąt. Po gęstych wreszcie poselstwach i długiej zwłoce, za przeważnem orędownictwem „jurgieltników“ bolesławowskich, Mieszko odjeżdża bezpiecznie z orszakiem, a cesarz otrzymuje wzamian czczą obietnicę wierności (8). W parę miesięcy potem nową przeciw księciu polskiemu przedsięwzięto wyprawę: wojsko niemieckie złupiło Saksonię i przeciągnęło nie bez własnej szkody przez Łużyce, zmierzając ku Odrze. Cesarz do obozującego pod Krosnem z licznemi roty Mieszka wyprawił znakomitszych panów z przestrogą, „aby mu wierność przyrzeczona nie wychodziła z pamięci.“ Syn Bolesława dał odpowiedź godną zarówno rycerza, jak obrońcy siedzib ojczystych: „Ziemi swej, najechanej przez was, postanowiłem aż do przybycia ojca bronić siłami wszelkiemi, potem starać się będę nakłaniać go do zgody z cesarzem i przyjaźni z wami.“ Duk saski tymczasem (Bernard), posiłkowany przez lutyków, idąc od północy, zatrzymał się nad rzeką graniczną, której pobrzeża ze wszech stron warowniami opatrzone znalazł (11). Cesarz 3 sierpnia przebył Odrę, i „wielkie mnóstwo polaków, którzy kusili się stawić opór, trupem zasłał. Bolesław, leżący obozem w pobliżu, nie ruszał się z miejsca, aby nieprzyjaciołom przystępu wolnego do kraju nie otworzyć.“ Polska jazda tłumowi rycerstwa niemieckiego, pomykającemu na lekkich łodziach, broniła wylądowania na pożądane wybrzeża. Najeźdźcy wszakże dopięli zamiaru, i podłożyli ogień pod osady przyległe... „Książę polski *zwyczajem swoim* z placu uszedł.“ Bernard, duk saski poprzestał na zniszczeniu okolicy; Udalryk tymczasem zburzył i zrabował miasto Busink (Budyszyn?), a Henryk, margrabia austryacki, pobił plądrujących na swem pograniczu żołnierzy bolesławowskich i wydarł im unoszoną zdobycz (12). Cesarz, zmuszony opuścić nagą i bezludną okolicę, doznawał niemałych przeszkód w przeprawie przez rzekę i bagna ze strony księcia polskiego, który, nie przebierając w środkach, wysłał do niego opata, nazwiskiem Tuni „mnicha z habitu, a w rzeczy lisa szczwanego“ „niby w celu zagajenia układów o pokój.“ Niemcy strzegli się posła, odprawili go dopiero po dokonanem przejściu przez bagniska, ale to nie uchroniło od zagłady pewnego oddziału, zostającego pod strażą i dowództwem arcybiskupa Gerona i komesa Burcharda: „po straszliwym, trzykrotnym okrzyku poruszył się nagle rój nieprzyjaciół w lesie ukrytych, i wnet garstka nasza od napływających zewsząd łuczników strzałami była zasypana.“ Dwaj wodzowie zaledwo uszli z pogromu, śpiesząc z wieścią do cesarza. Pamięć o tej rzezi okropnej uwiecznia kronikarz pod dniem 1 września 1015 r. (13). Zwłoki poległych rycerzy uczczono pogrzebem, „w czem sami nieprzyjaciele pomocy swej nie odmówili (14). Mieszko, posłuszny rozkazowi „ojca niegodziwca“, podążył za odciągającym cesarzem: przeprawił się przez Elbę, i pościwszy zagony, patrzał zdala, jak jego żołnierstwo grabiło przedmieście Miśnii, a następnie, gdy nie powiódł się szturm do zamku, poszło w okolicę, szerząc zniszczenie aż po rzekę Ganę. Przybierające wody na Elbie zmusiły nakoniec Mieszka do odwrotu (15).

(Dalszy ciąg nastąpi).

A. G. Bem.

Z FRANCYI.

Paryż, d. 24 stycznia 1881 r.

Pośmiertna powieść Flauberta. — Zdumienie krytyków.—L'abbé de Voisenon i jego anegdoty.—Przestroga dla plagiatorów.—Niewieście autorstwo. — Błękitne horyzonty i senne marzenia.—Guy de Maupassant.— Ideał państwa aryów.—Ludzka maskarada.

Krytyka francuzka zdziwiona jest niezmiernie pośmiertnie ogłoszoną powieścią Flauberta *Bouvard i Pécuchet.* Na rachunek przeszłej sławy wielkiego pisarza, dzienniki rozniosły naprzód sługębne pochwały. Aż dwa przeglądy: *Revue Nouvelle* i *Revue Politique et littéraire*, rozpoczęły jej druk licząc na powodzenie; czytelnicy chciwie zabrali się do poznania pierwszego zeszytu, po drugim zaczęli się oglądać na siebie niedowierzająco, po trzecim mniej wytrwali opuścili ręce — nareszcie krytyka a za nią cała publiczność spytała: jestże to żart? jest-że to ironia, rzucona światu przez tego Tytana słowa? jest-że to powieściowe *credo* szopenhaueryzmu i hartmanizmu? czy też po prostu notatki luźne, mające służyć za materyał, a gdy śmierć przecięła dalszą nić artystycznego ich rozsnucia, przedstawione ogółowi jako płód nieuformowany jeszcze we właściwe kształty?

Podróż dwu starych biuralistów, maniaków i kretynów, po przez mielizny i wydmy współczesnej przedsiębiorczości handlowej, przemysłowej, artystycznej i naukowej, przedstawia widok zabawy waryackiej, rzucania zer na powierzchnię żwirów z pytaniem: czy ztąd się utworzą i wypadną miliony, poszukiwania koniecznie cyfry tam, gdzie ona istnieć nie może bez — jednostek.

Bouvard i Pécuchet są niewątpliwie zerami — istne abstrakcye niepraktyczności w wieku pozytywizmu i pessymizmu. Weźmy przykład. W ciągu, nie wiem już której, kolejnej przemiany projektów Bouvarda i Pécucheta wypada im studyować chemię. Zamiast tedy podręcznika, wprost prowadzącego do celu, biorą książkę filozoficzno-chemiczną i tępym umysłem nuż grzęznąć w hypotezach opiewających dosłownie, że „ciała proste są *być może* ciałami złożonemi“ lub że „między metalami i metaloidami nie zachodzi *być może* żadna różnica.“ Jedno zdaje się tylko pewnem, że autor drwi z metafizyki i ze sposobu nauczania dzisiejszego, ale czyni to tak... subtelnie, że całe rusztowanie zasady niknie wśród nieskończenie nudnych i drobnych szczegołów.

Wreszcie, to, co zwykle nazywamy tendencyą w powieści, nie miało dotąd pierwszorzędnego znaczenia w dziełach Flauberta. Nie na tem urosła jego sława. Sumienny, cierpliwy, genialny ten badacz życia obrazował je, odtwarzał w całej prawdzie, a jeśli się z tego urabiała tendencya, była ona tylko logiką wyciągniętą z faktów, przedstawionych z nieporównanym artyzmem. Za ten artyzm i prawdę rzeczywistości autor zwykł się chować, działając czynami i słowami swych bohaterów. I tym razem niby prowadzi rzecz podobnie. Powściąga się tak dobrze, iż nawet satyrycznym uśmiechem nie daje poznać, że

wie o słabości umysłowej dwu niedołęgów; ale obrazowość przerodziła się tu w drobnostkową fotografię, przypominającą mocno Henryka Monnier, a jednostajność opisów strąca czytelnika w śmiertelne nudy. Chybia więc artyzm bezzamiarowy, chybia tendencya, jeśli ją szukać zechcemy. Zwolennicy Flauberta, a są tacy, co się posuwają aż do bałwochwalstwa, trudne będą mieli zadanie, by wmówić wartość tej pracy w oczach jakiegokolwiek dojrzalszego i bezstronnego krytyka. Trzeba istotnie ulegać wpływom zachwytu, który się tylko da porównać z uniesieniem, przejmującem serce szkolnego młodzieniaszka ku pierwszemu przedmiotowi jego miłosnych zapałów, by, jak to się nieraz zdarza, nie rozróżniać nawet powierzchownych tego przedmiotu niedoststków. Tak też i niektórzy neofici krytyki gotowi przysięgać na flaubertyzm, jak niegdyś przysięgano na ewangelię— niemniej nie podniosą tem wątpliwej wartości utworu, tak jak przesadzonemi pochwałami nie są zdolni osłabić wrażenia arcydzieł. Lew zostaje lwem, co bądź o nim gwarzą owce. Otóż i Flaubert jedną nieudatną, a może nieukończoną pracą, nie zaćmiewa blasku poprzednich, którym imię jego jaśnieje wspaniale. Konkluzyi wreszcie czekajmy przy ostatniem słowie powieści, uzbroiwszy się w cierpliwość— przeczytania jej do końca.

Wiązka literackich nowości przed nami leży, świeżo na wydawniczej zebrana niwie. Imiona po większej części nieznane, lub zapomniane: jak de Voisenon, M-lle Tourin, Georges Nardin, de Pommairols. Zajrzyjmy do pierwszej. Jestto zbiór anegdotek literackich księdza de Voisenon. Dowcipny to był człowiek; kolące strzałki jego spostrzeżeń w lot dosięgają celu i nieraz są może za ostre, nad zamiar. Co najzabawniejsze, iż sam fakt wydania tego tomu stworzył anegdotkę, tym razem zupełnie prawdziwą. Oto, okazało się, że dowcipnego „abbé“ obierano po cichu od roku 1829 z jego „bons-mots“ i „traits d'esprit“ i strojono się w nie, jak w swoje własne. Jules Janin, potrzebując napisać obrazy anegdotyczne z literatury francuzkiej, pożyczył sobie od księdza użytecznego rękopisu i wykroił spory tomik, bez żadnej ceremonii. Później Arsène Haussaye, pisząc historyę *Czterdziestu i jeden foteli*, czerpał też, co się dało, z zasobów nieboszczyka „abbé.“ Były też zdania, które obiegały wtedy, pod tytułem własności tych panów, cały świat literacki, a dziś zjawia się ich źródło i spóźniona sława wraca do swego twórcy. Przestroga dość dotkliwa dla plagiatorów.

Lubię czytać utwory belletrystyczne piór niewieścich. Odznaczają się one zwykle, oprócz zalet wspólnych z męskiemi, pewną subtelną delikatnością stylu i wdziękiem. Uwagę tę robię pod adresem talentów drugorzędnych, bo genialność jest bezpłciową a wszelkie odróżnianie jej zbyteczne. Otóż, zauważałem stale, iż rzecz mierna pod piórem kobiety nabiera pewnej okrągłości przyjemnej dla ucha, co ją czyni znośniejszą od miernoty, ociosanej ciężkim, męzkim stylem. Ale są przedmioty, wymagające niezbędnie warunków siły obrazowania, pisarskiego doświadczenia i jak w granicie kutej formy; inaczej dźwignięte nieudolną dłonią, przygniatają autora i jego cele. Jeden z takich przedmiotów podjęła panna Tourin, w książce p. t.: *Źle człowiekowi żyć samemu. Vae soli!* ś-go Pawła. Rzecz o celibacie księży; skała przesądu—o którą się rozbija... pióro autorki. Nie pomogły kwiaty wyobraźni, ani miękie wygięcia linij. Twardego tu młota potrzeba, nie kwiatów.

Dla kontrastu bierzemy do ręki tom poezyj p. t. *Błękitne Horyzonty* p. Jerzego Nardin. Wiadomo jest, iż w naszej epoce lutnia poetów dziwnie niestrojna. Na pojedyńczych jej strunach ten i ów wygrywa swą melodyę, to basowo-jednostajną, jak Victor Hugo w swym *Ośle*, to kwilącą, jak p. Nardin; akordu pełnego — niestety! dawno nie słyszeliśmy. Uśmiechy i płacze p. Nardin rozwiewają się po jego widnokręgu mdławo, bezbarwnie i nużąco. Nie na więcej się zdobył p. de Pammairols w tomiku p. t. *Sny i marzen'a*, rozsnuwający przed nami niby owe jesienią po łąkach zawieszane w powietrzu nici pajęczyn, które słońce zabarwi niekiedy tęczowym odblaskiem, wątłe są jednak i rwą się za lada podmuchem. Obecnie francuzka poezya jednego ma tylko młodziutkiego kapłana, który z czasem może istotnie zapanować w nowej świątyni, oddanej muzie... naturalizmu. Tak, naturalistą jest p. Guy de Maupassant, przybrany syn Flauberta; talent szczery i grecki przebija z pąkowia prób jego poezyi i niezawodnie są one stokroć udatniejsze od całej powodzi pospolitych rymotwórców, obdarzających nas odgrzewanymi okruchami wielkich pieśniarzy z epoki minionej.

Zastrzegając sobie na później obszerniejszy rozbiór utworów Maupassant'a, pójdźmy w dalszym ciągu naszej dorywczej kroniki.

Pan Maryusz Fontane wydał pierwszy tom swej *historyi powszechnej*. Od lat dwudziestu pracowity ten badacz gromadził materyały do dzieła, mającego w szesnastu tomach streścić obrazowo cały rozwój historyi ludzkości. Pan Fontane był głównym sekretarzem administracyi przy kanale Suezkim, co mu dało sposobność odszukania zaginionych tradycyj wśród pomników i ruin, zachowujących ślady pomocnicze do naukowych wywodów. Z drobiazgową ścisłością odważny ten badacz odbudowuje przed nami społeczeństwo barwnym, poetycznym językiem, który z jego książki zatytułowanej *L'Inde vedique* czyni prawie poemat epiczny. Historya jego przenosi nas na piętnaście czy dwadzieścia wieków przed Chrystusem między aryów i maluje pierwotną ich cywilizacyę tak powabnie, że jeśli tylko (zważywszy utrudniającą sprawdzenie odległość wieków) intuicya poetyczna nie dopomogła szanownemu historykowi do stworzenia idealnych rysów tego społeczeństwa, żałować nam przychodzi, że następne wieki zniszczyły tak wspaniałe zasady, że cywilizacya późniejsza zatarła tak doskonały państwowy porządek. Posłuchajmy tylko, co nam opowiada p. Fontane:

„Aryowie, rassa ludzka uprzywilejowana, tworzą grupę narodową uorganizowaną z cudowną prostotą. Bez księży, bez książąt, byli zupełnie szczęśliwymi w swym kraju Sapta-Sindhou (siedmiu rzek). Religia ich nie znała nadnaturalnych objawień. Ogień, zasada wszelkiego życia, dobroczynny ogień, *Agni*, święty Agni, oto jedyny bóg aryów. Nie jest to nawet bóg, właściwie biorąc. Jest on sługą człowieka, iskrą wywoływaną wezwaniem aryów, płomieniem zażegniętym przez ojca rodziny, który jest istotnym kapłanem.“

Kobieta uważaną była na równi z mężczyzną. Dziecko było radością rodziny. Mężczyźni byli energiczni, cierpliwi, pracowici; kobiety piękne, wesołe; rozum łagodził wszelkie sprawy bez sędziego. Lubili taniec, muzykę, czcili poetów i poili ich napojem zwanym *sama*, podniecającym wyobraźnię, przygotowanym przez kobietę a podawanym w czaszy, modelowanej na wzór... (niestety, zepsuta nasza cywilizacya nie pozwala mi tego nazwać z aryjską prostotą) na wzór pewnych wdzięków istoty niewieściej w celu słodkiego rozmarzenia poety, śpiewającego hymny na cześć Agni.

Czemuż tak zmieniły się czasy i obyczaje? Czemuż zabrakło biednym poetom i miłych czar i słodkiego napoju!

„Ani duchowieństwa, ani kościoła, ani starć władzy. Niezależni i szczęśliwi aryowie.“

Druga część za to opiewa ich odstępstwa od pierwotnych wzorów i wreszcie upadek. „Plemię czarne i żółte skaziło szlachetną krew aryów i obyczaje; ginie ich zbawienna tradycya.“

Książka p. Fontane czyta się przyjemnie, uczy w sposób przystępny, ma zalety erudycyi wielkiej, obok poetyczności niemal romantycznej. Dla dorosłej młodzieży jesto to wyborne popularne dziełko, czytelnikom niewątpliwie podobać się musi. Kto jednak na tę sielankę minionych czasów zazdrosnem lub niedowierzającem patrzy okiem, radzę mu dla dogodzenia swym pessymistycznym gustom przejrzeć *Maskaradę ludzką* Gavarni'ego, album z przedmową p. Halévy. Tomasz Vireloque, filozof śmieciska, postać przepyszna, przez której usta Gavarni bluzga ironią krwawą, żółciową, a pełną gorzkiej prawdy, wszystkie iluzye zdolny jest zatrzeć jednym pogardliwym gestem swej namulonej dłoni. Siedzi on nad rynsztokiem, być może na przeciw wypisanych godeł respubliki, jeśli go sobie zechcemy przenieść w dzisiejszą chwilę — patrzy, jak dwa indywidua potrąciły się wzajem, a ten, który zgubił kapelusz woła:

— Cóż to znowu? Nie ma więc już braterstwa?

Tomasz Vireloque powiada, widząc pięście mu grożące:

— Bracia? być może — ale, krewni? nie krewni!

Wśród teraźniejszych zdarzeń życia powszedniego, choćby przy wykonywaniu dekretów lub powrocie amnestyonowanych, ileż by razy filozofia Tomasza Vireloqua znalazła zastosowanie!

Bolesław Saryusz.

Z CZECH.

Narodowość myśli czeskiej. — Przecenianie prac własnych, zniżanie cudzych.—Wlastency i postępowcy.— Chęć połączenia się z Europą. — Walka stronnictw—na błoto. — Grunt wspólny.

Jak bomba wpadła historya literatur słowiańskich Pypina i Spasowicza między uciszoną i zgodną pozornie brać literacką pobratymczej nam Czechii. Istny „ramus“ (jak w Pradze mówią) powstał z powodu tej historyi. Aby ową wojnę zrozumieć, trzeba sprawozdanie o niej wyprzedzić kilkoma słowami objaśnienia.

Życie narodowe i literackie czechów nie należy jeszcze do faktów uznanych—dorabiają się. Lat temu czterdzieści nie było czechów w dzisiejszem rozumieniu, nie było języka i literatury, nie było nawet, pominąwszy kilku apostołów, *poczucia* narodowego. Panowały wówczas w Pradze te same stosunki, jakie jeszcze dziś na pruskim Szląsku widzimy. Tylko w domu, gdy nikt nie słyszał, mówiono po czesku, a po za domem tylko ten, kto nie znał niemieckiego języka. Przecież i dziś, choć się tak wiele o narodowem przebudzeniu czechów mówi, zamożniejsi mieszczanie, zbogaceni kupcy, fabrykanci, używają języka niemieckiego, jako mowy „wykształconej części narodu“ (sic). Zdarzało mi się nieraz, że idąc ulicą, chwytałem zdala dźwięki słowiańskie, a kiedym się przybliżył, zmieniały się one na obce, germańskie. Poczciwy, głupiutki mieszczuch rozmawiał z żoną lub dziećmi po czesku, a gdy widział zbliżającego się przyzwoicie ubranego człowieka, zmieniał „mowę gminu“ na język „wykształconych.“ Dziwneż to? Gdzie tam! Nie mówiąż i nasze zbogacone szewcowe, fabrykantki, kupcowe i t. d. po ulicach, aby się pochwalić znajomością języka salonów — po francusku? W Poznaniu, w mieście tworzącego się dopiero mieszczaństwa polskiego, możemy się takim dziwolągom—powiedzmy szczerzej—takim małpom dość często przypatrzeć. A nasz półpanek z prowincyi? Umarłby, gdyby miał list do tej albo owej hrabiny napisać po polsku; płonąłby ze wstydu, gdyby się nie mógł w salonie kilkoma lichymi frazesami, lichymi w treści i w wysłowieniu, pochwalić z francuska. Na tym podobne niedorzeczności ludzkie jedyną radą: potęga materyalna i duchowa. Naród, który może rozdawać tytuły, ordery, z którego można po prostu korzyści ciągnąć, będzie miał i szacunek, a język jego będzie na ustach wszystkich. *Powodzenie* przekonywa najpewniej wszystkich tych, którzy nie mają ochoty do bohaterstwa, do zaparcia się siebie, czego koniecznie potrzeba w społeczeństwach, dobijających się bytu. Wszakże, choć gawrony, tchórze i inne mizerne istoty zwykle stanowią większość, nie lękajmy się o istnienie narodu, który w siłę swą uwierzył, bo idea ostatecznie i leniwych przemoże.

Młodzieńczem tedy jest życie narodowe w Czechach. Duch narodowościowy, duch indywidualizmu ludowego, który należy do głównych prądów naszego czasu, powiał i na czechów, zapłodnił kilka zdolnych głów, kilka gorących serc bohaterską ideą. Niewielu ludzi stanęło przed kilkudziesięciu laty do zapasów z wiekową robotą germańskiej Austryi i przemogło w lat niewiele owoc wieków. Wszakże to cud, a może więcej dowód tego, że człowiek, choć jest w stosunku do wszechświata, nawet do mieszkania swego, do ziemi, odrobiną, choć wola jego w stosunku do wszechwoli śmieszną jest, słabiuchną siłą, może jednak w zakresie „własnego życia“ bardzo wiele zrobić. Dziś nazywa się cała inteligencya wsi i mniejszych miasteczek „czeskim narodem,“ a obecnie kształcąca się młodzież, żyjąca tylko i oddychająca sprawą czeską, dokona reszty. Pomogły czechom klęski austryackie w polityce, pomogła im Sadowa, lecz znaczna część owoców należy się bohaterom idei, którzy z zaparciem się siebie dla przyszłych pracowali pokoleń. Dalsze powodzenie wróci w końcu i szlachtę, która naród swój zdradziła, czeskiemu ludowi, przekona i mieszczaństwo, a wówczas zakwitnie życie czeskie, pomnażając kwiatem swoim wonny bukiet słowiańskich ludów.

Żywe i pisane słowo, czyli literatura, wskrzesiło czeskie życie. Nie trudno się domyślić, jaką była ta literatura. Chodziło głównie o rozbudzenie czeskiego ducha, wiekowym ujętego snem, a gdy się śpioch ocknął, o wychowanie go po czesku. Zaczęto wygrzebywać stare dzieje, tradycye, pieśni, powieści, słowem spuściznę dawnej czeskiej przeszłości, podając ją ludowi w nowych, do nowych pojęć przykrojonych szatach, strojnych w barwy zapału, wiary i nadziei. Chodziło o przypomnienie czechom narodowej ich świetnej przeszłości, aby ich pchnąć do pracy przyszłej. Duch narodowy, tak zwany wlastenecki (wlast—ojczyzna), duch ojczysty *musiał* być z początku głównym kolorytem wszystkich prac czeskich, skrajna czeska tendencya głównym rysem. Inaczej być nie mogło. Więc wszystko, co czeskie, było dobre i piękne, wszystko co czech zrobił, było znakomite: nie ma nad czeską literaturę, muzykę, naukę, nie ma ludzi nad czechów. A wszystko, co złe, pochodzi od wiecznych słowiańszczyzny wrogów. Miłość do czeskiej przeszłości, w dalszym ciągu—do słowiańszczyzny, a nienawiść do niemców, do germanizmu w ogóle wieje z całego okresu literatury czeskiej, który nazwiemy—wlasteneckim, ojczystym. Miłość ta i nienawiść wydawała dość często śmieszne owoce, gdy dosięgła krańców; lecz rozumiemy nawet tę śmieszność i uniewinniamy ją. Wiemy np. że literatura niemiecka jest bardzo bogata, że nie żal nauczyć się niemieckiego języka, aby mieć klucz do jej skarbów. Ale kto czechowi jeszcze dziś powie, że niemcy mają bogatą literaturę, zraża go sobie na zawsze, co poświadczyć mogę z doświadczenia. Rozumiemy taki fanatyzm polityczny, lecz musimy go nazwać właściwem imieniem: jest on przesadą, ostatecznie szkodliwą. Przedstawicielami ojczystego kierunku w literaturze czeskiej są: Szafarzyk, Palacky, Kollar, Czelakowski, Vocel, Erben, Sztulc, Rubesz, Klicpera, Tyl, Chostolouszek, Frycz; z młodych: Krasnohorska, Pokorny i t. d.

Przed kilku dopiero laty wyszło z łona młodszych czeskich autorów nowe życie. Grono poetów i beletrystów, których organem jest *Lumir*, pod redakcyą prof. Sladka, a ozdobą Jarosław Vichlicky i Swatopluk Czech (poeci) wywiesiło nową chorągiew: dość długo oraliśmy ojczystą rolę, pomijając literaturę, jako literaturę, naginając sztukę do politycznych tendencyj; czas, abyśmy się z literaturą i duchem europejskim złączyli. Wojna zaczęła się pośrednio artykułem warszawskim, a zawrzała ze słowiańską namiętnością na gruncie czeskim. Wspólnie dotąd idący literaci rozdzielili się na dwa obozy. Wlastency stanęli po jednej stronie, posługując się *Paleczkiem* Pokornego, jako swym organem, postępowcy skupili się koło *Lumira* i *Kwietów*. Wlastency, rekrutujący się ze starych, zasłużonych już literatów, wsparci szczupłą garstką młodszych sił, nadęli się, zdobytą już powagą i zawołali: kto nie pisze dla czechów, dla czeskiej ojczyzny, kto nie apoteozuje ideału czeskiego, jest odstępcą, jest zdrajcą. A postępowcy huknęli chórem z bezwzględną i namiętną butą młodości, która ma przyszłość przed sobą: kto nie chce iść naprzód, jest starym osłem! I zaczęła się wojna literacka, o jakich inne, mniej *świeże* narody pojęcia nie mają. Od słowa do słowa, od klątwy do klątwy i tak dalej zeszła nareszcie walka literacka do wymysłów, przechodzących nawet karczemną swobodę. Rozdzieleni na dwa stronnictwa, obrzucali się literaci nawzajem błotem, już nie jako literaci, ale jako ludzie, oskarżali się o brudy osobiste i t. d. Podobną wojną może się jedynie Lwów poszczycić, którego redaktorzy swego czasu kijami się przekonywali, a nawet dotąd najlepiej osobiście walczyć umieją. Kto zna zaciętość czechów, może sobie wystawić, jak ta walka w rezultacie wyglądała.

Jakiż rezultat tej walki? Wlastency nie przekonali nowej szkoły, jak słusznie Bronisław Grabowski w artykule swoim (w *Niwie*) o czeskiej literaturze pisze: obie partye pójdą własnemi drogami. Naturalne to i ostatecznie potrzebne. Burza przeczyszcza powietrze, a słońce po niej świeci zawsze pełniej i milej. Szkoda tylko, że ludzie nie umieją się uczyć z księgi przeszłości, że każdy na nowo wojować i żyć zaczyna, jak gdyby nie było przed nim biedaków, co cierpieli i wojowali. Szkoda, że starsi nigdy przekonać się nie chcą, iż duch narodu nie cofa się, nie staje, nie odpoczywa, lecz spieszy ciągle naprzód, nawet wtedy, kiedy się zdaje, że stanął. Szkoda, że młodzi w bucie i zarozumiałości, przez lekceważenie starszych podrażnieni, nie chcą uznać zasług swych poprzedników, nie chcą odrazu systematycznie dalej budować, zanim wszystkiego do góry nogami nie przewrócą. Przecież i u was, w Warszawie, podobne do czeskich literackie stosunki panują. Wy tam wlastenców nazywacie prawomyślnymi, czy inaczej, odmawiając im talentu i zasługi, a prawomyślni naodwrót was — tytułami trucicielów częstują. Zdala stojący, nie deptany w tartaku powszednich wojen dziennikarstwa warszawskiego, nienależący do tej lub owej koteryi miejscowej, do tego lub owego kółka wzajemnej adoracyi, do... nieomylnych żółtych, szarych, niebieskich, powiadają: pracujemy dla jednego narodu, wszyscy dla ludzkiej myśli, choć różnymi środkami i drogami, szanujmy się wszyscy, a walczymy wspólnie tylko przeciw złej woli, lub nadętej, zarozumiałej ciemnocie eksreporterów i tym podobnych "znanych" wielkości. Możemy się kłócić między sobą o drogi, środki, kierunki, bo trudno, abyśmy wszyscy mieli jedną wiarę, ale nie zarzucajmy sobie złej woli, zdrady i tym podobnych zbrodni. Gdybyśmy się literakom wojnom przypatrzyli, a dobrze, możebyśmy się przekonali, że właściwymi sprawcami osobistych i gorszących zaczepek, które zwykle z obozu starszego najpierw wychodzą, nie są reprezentanci tego obozu, lecz lokaje. W społeczeństwie, zajmującem się literaturą, wytwarza się całyż rodzaj pomocników literackich. Małe, liche, bez talentu i bez nauki figurki, chcące się szybko pozycyi dobić, czepiając się zwykle uznanych już wielkości, bo wejść między szeregi młodych — nie opłaca się. Tam potrzeba talentu i odwagi, a karyerowicze ani pierwszego, ani drugiej nie mają. Wciskają się tedy za plecy osobistości znanych, jako reporterzy i tym podobne piechury literackiego świata, grzejąc się w słońcu swego pana. Oni to hałasują najgłośniej z po za płota, jako... „ludzie poważni,“ jako współpracownicy „poważnych organów“ itd. A ciosy spadają na „panów,“ bo w razie bitwy cofa się piesek, schowawszy pochlebczy ogon między nogi. Tak dzieje się w Pradze i wszędzie.

Trwała literacka wojna w Pradze przez kilka lat, a mimo wielu centnarów wystrzelanego prochu, całych kwart wypisanego atramentu nie przyszło do żadnej zgody, bo wlastency uważają dotąd postępowców za zdrajców sprawy narodowej a postępowcy nazywają przeciwników swoich starymi gilami. A przecież jest punkt wyjścia, nawet zgodny. Wlastency powinni się liczyć z potrzebami czasu, a postępowcy z potrzebami kraju. Wlastency

mają słuszność, gdy powiadają, że literatura czeska powinna dziś jeszcze stać pod chorągwią czeską, a postępowcy nie mylą się, gdy chcą rozszerzenia programatu artystycznego. Drobnostka to, a jednak rozdziela inteligencyę czeską na dwa skrajne, nienawidzące się obozy. Wlastency nie powinni żądać, aby literatura czeska nie wychodziła po za formy i przedmioty narodowe, bo jednostronność zabija; nie powinna chcieć, aby literatura stroniła od obczyzny, jak głupiec od prawdy, bo czeski duch nie rozwinął jeszcze tak szeroko skrzydeł, aby mógł bez obcej pomocy w „strefy ulewy i grzmotu,“ jak mówi poeta, ulecieć. Postępowcy są panami przyszłości i tak było zawsze. Czescy literaci, którzy się uczą od obcych, którzy nie gardzą literaturą Francyi, Anglii i Polski, są na dobrej drodze—to wątpliwości nie ulega. Zdążamy szybko do ogólnoludzkiej, powszechnej literatury. Przedmioty ogólno ludzkie, cierpiąca jednostka bez względu na narodowość jej i stan, sponiewierana ta, bezustannie pomijana jednostka, będzie niebawem dla artysty więcej zajmującym przedmiotem od wojennych, politycznych epopei. Mówić, że ogólnoludzka osnowa zatraca narodowy koloryt dzieła, że *człowiek jako człowiek*, gdy stanie wśród ku artystycznej fantazyi, wypchnie z poezyi poezyę, to chyba wołanie ludzi, którzy nie rozumieją idących szybko ku nam czasów. Wszakże rozumowanie takie łatwo przychodzi, gdy się stoi zdala od bojowiska. Ile osobistych uraz, chęci i niechęci, a głównie małych istot, o których była mowa, pomaga mącić pierwotną zgodę, wiemy wszyscy, cośmy stali za kulisami redakcyjnych oficyn. Zamiast się zbliżać, oddalają się stronnictwa literackie w Pradze z każdym dniem więcej. Pozornie przytłumiona walka wybucha przy każdej sposobności. W ostatnich tygodniach zeszły się dwie sposobności prawie równocześnie. Istniejąca ta *Umělecka Besieda* (Artystyczna Biesiada), będąca dziś organem narodowych literatów, wydaje co rok sprawozdanie z czynności swoich, dołączając krótki pogląd na literaturę ubiegłego roku. W poglądzie minionej doby wyrażał się sprawozdawca dość bezwzględnie o autorach i dziennikarstwie młodoczeskiem. Ztąd wrzawa! Dwudziestu siedmiu literatów, między którymi prawie wszystkie znakomitsze imiona, ogłosiły protest: nie uważamy klubu artystycznego za naszą reprezentancyę i t. d. Obecnie zdarzyła się druga sposobność do awantury. Tłomaczą tu Pypina historyę słowiańskich literatur, a ponieważ Pypin nie wiele poświęcił miejsca *młodej* czeskiej literaturze, upomniał się *Lumir* za krzywdę swych przedstawicieli. Organa przeciwników *Paleczek*, *Świetozor* i *Umělecka Biesieda* tryumfują. Skrzypią pióra, drą się gardła, sadzą rozumy na sofistyki i docinki, jak to zwykle bywa, a ktoś zdala stojący śmieje się i mówi: dzieci, macie wszyscy słuszność, tylko przypatrzcie się bez namiętności całej sprawie! Ale ponieważ o tem nie ma mowy, więc kłóćcie się, a mimowolnie służycie literaturze waszej, bo bój, to życie, a życie, no, to życie...

Teodor Choiński.

WYZWOLENIE SOLI.

III.

W kraju naszym posiadaliśmy dawniej Wieliczkę i Bochnię, których niewyczerpane bogactwa wystarczały na zaopatrzenie w sól dawnej rzeczypospolitej.

Dochód z kopalni stanowił zawsze przynależność królewską a dobywanie odbywało się pod nadzorem żupników, pomiędzy którymi napotykamy nazwiska historyczne: Wierzynka, Bonarów, Bochnarów (przodków rodziny Wielopolskich), Morsztynów, Kościelskich i Betmanów.

Po roku 1772 miejscowości te razem z Galicyą przeszły w posiadanie rządu austryackiego, który przez długi czas zobowiązany był, na zasadzie szczegółowych konwencyj i układów, dostarczać soli z kopalni na użytek pozostałych krajów polskich. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego sprzedaż soli stanowiła monopol wyłączny skarbu, który nabywał ją do swych magazynów od Austryi—a gdy ilość dostawy, w układach oznaczona, na potrzeby miejscowe nie wystarczała—także i od innych krajów, szczególnie sól liwerpolską. Do magazynów rządowych nabywano również sól z warzelni w Ciechocinku, ale produkcya tego zakładu nigdy obfitą nie była; w najpomyślniejszych warunkach nie przewyższała 100,000 centnarów rocznie, dziś nie wynosi więcej jak 40,000 pudów, które dotychczas rząd od zakładu nabywał za summę 14,400 rubli. Dostawy soli do magazynów podejmowali się przedsiębiorcy prywatni, z którymi zawierane bywały kontrakty zwykle na terminy trzyletnie. Sprzedaż zaś soli spożywcom dokonywała się wyłącznie z magazynów rządowych, będących pod dozorem pisarzów solnych.

Posiadamy wiadomość, że istniał układ o dostawę soli z Wieliczki i Bochni, zawarty z Austryą przez rząd Księstwa Warszawskiego w r. 1811.

Po traktacie wiedeńskim zawierano niejednokrotnie nowe z Austryą w tym przedmiocie umowy i kontrakty. Na zasadzie układów z d. 1 i 22 lutego, oraz 8 maja roku 1819, zawarty został w r. 1820 pomiędzy rosyjskimi i austryackimi komisarzami kontrakt, mocą którego Austrya zobowiązała się w przeciągu lat jedenastu dostarczać Królestwu 450,000 centnarów soli, w tej liczbie 350,000 bezpłatnie [1]), 100,000 centnarów za gotową zapłatę po zł. reń. 2 za centnar. W następnych układach nie było już mowy o dostawie bezpłatnej; w każdym razie jednak cenę soli oznaczano nader umiarkowanie (w r. 1852 np. jak widać z objaśnień do budżetu, wynosiła 53 kop. za centnar).

Układ zawarty z Królestwem rozciągał się i na wolne miasto Kraków, w którem stale rezydował jeden z naszych urzędników skarbowych, pod tytułem komisarza.

Ostatni układ z rządem austryackim zawarty był 27 grudnia 1851 r. na lat dziesięć; lecz z powodu niewymówienia go w terminie oznaczonym, obowiązywał do końca r. 1872, w którym skutkiem zniesienia monopolu solnego w Królestwie oraz zlania w jedno budżetów Cesarstwa i Królestwa, ostatecznie zaniechano wszelkich dalszych układów z Austryą i poddano konsumcyę soli pod ogólne przepisy Cesarstwa.

Oto są niektóre cyfry, dotyczące dochodu ze sprzedaży soli, tudzież jej spotrzebowania w różnych latach:

W r. 1833 dochód budżetowy wynosił złotych pol. 16,322,627 (rs. 2,448,394 kop. 5) potrzeba soli roczna była obrachowaną na 649,586 centnarów, licząc na to sprzedaż i możliwe ubytki (pudów 1,623,965).

W roku 1839 dochodu obliczono zł. pol. 18,000,000 (rs. 2,700,000) z potrzebą roczną 661,600 centn. (pudów 1,654,000); w owym czasie za pud soli pobierano w magazynach po 27 zł., gdy w Krakowie tę samą sól płacono po 21 złotych.

W r. 1843 dochodu obliczono rs. 2,902,500 z potrzebą roczną 707,860 cent. (pudów 1,769,650); za cetnar pobierano rs. 4 kop. 8.

W roku 1850 dochodu obliczono rubli 3,250,000 z potrzebą roczną pudów 2,487,505; pud soli sprzedawano po rs. 1 kop. 30, podczas gdy Austryi płacono nie wyżej 53 kop. za centnar, a w Ciechocinku po $26\frac{2}{3}$ kop. za pud, przedsiębiorcom zaś za dostawę do magazynów puda soli zagranicznej po $11\frac{1}{2}$, ciechocińskiej $8\frac{1}{2}$ kop. od puda.

Jednocześnie wydawano na zakup soli, transport, ekstraordynarya, budynki solne:

w r. 1833 rs. 654,207 k. 60
„ 1843 „ 869,883 „ —
„ 1850 „ 748,033 „ —

W r. 1851, z powodu zniesienia linii celnej między Królestwem i Cesarstwem, dochód się zmniejszył. Mieszkańcom bowiem pogranicznym pozwolono nabywać sól w sąsiednich guberniach Cesarstwa, a nadto, dla uniknienia niebezpiecznego współzawodnictwa, obniżono jej wartość w magazynach do cen, jakie w owe czasy praktykowały się w Cesarstwie, to jest do 85 kop. za pud. Oprócz tego skarb, jako właściciel monopolu, pociągnięty został do opłaty od sprzedanej soli akcyzy na rzecz skarbu Cesarstwa, za co wzajemnie naznaczano ze skarbu jego wynagrodzenie za ubytek dochodu solnego. W tej postaci dość dziwaczny obrachunek budżetowy przedstawiał się jak następuje:

W r. 1852 dochodu ze sprzedaży soli obliczono rs. 2,363,000 podług potrzeby rocznej pudów 2,780,000, indemnizacyi ze skarbu Cesarstwa 1,914,639, łącznie 4,277,639.

Wydatek na zakup soli, transport i akcyzę na rzecz Cesarstwa rs. 1,825,009, utrzymanie budynków rs. 10,000, utrzymanie służby około rs. 45,000, łącznie rs. 1,880,009; dochód więc czysty wynosił rs. 2,397,630. Tym sposobem mały nasz kraik o 5 w owe czasy milionach ludności opłacał za sól $\frac{1}{5}$ tej summy, jaką płaciło całe Cesarstwo w czasach ostatnich o 83 milionach ludności; nic więc nie ma w tem dziwnego, że konsumcya soli na osobę ludności wynosiła taką samą ilość, jaką wywiedliśmy wyżej dla całego Cesarstwa.

W dalszych latach, aż do roku 1866 nie znajdujemy już w budżetach żadnego przyrostu ani w cyfrach dochodu, ani wydatku, ani potrzeby rocznej. Jest to jasnym dowodem wadliwości całego systematu; niepodobna bowiem, ażeby w przeciągu lat 14 konsumcya soli nie powiększyła się przynajmniej w stosunku do przyrostu ludności. Rzecz więc oczywista, że ilość brakującą czerpała ludność albo z prowincyi ościennych Cesarstwa, albo za pomocą przemycania, pozbawiając budżet miejscowy nietylko dochodu, ale i dokładności statystycznej.

Przy układaniu budżetu na r. 1866 uchylono z niego, jako zbyteczne, cyfry wzajemnego obrachunku z indemnizacyi i dopłaty akcyzy skarbowi Cesarstwa. W roku zaś 1867 cała część akcyzna przeszła pod zarząd ministeryum finansów i budżet jej zlał się z budżetem ogólnym Cesarstwa. Od tego więc czasu nie mamy żadnych już w tym przedmiocie danych, wyłącznych co do Królestwa [1]).

Wiadomo w każdym razie, że dziś mamy do użytku sól wyłącznie prawie zagraniczną; jaka jej ilość konsumuje się rocznie w naszych guberniach, o tem cyfr urzędowych nie posiadamy.

Wszakże dzisiaj sól wieliczkowska zajmuje w konsumcyi naszej bardzo podrzędne stanowisko. W dziele p. Blocha znajdujemy cyfry soli, dostawionej na komory Cesarstwa w r. 1876. W tej liczbie z po-

[1]) Wynikało to z warunków traktatu wiedeńskiego i szczegółowych konwencyj, według których rządy cesarskie zobowiązały się zobopólnie do zaopatrywania wszelkich pretensyj swych poddanych, wynikłych z wojen napoleońskich. Sól więc, dawana przez Austryę bezpłatnie, szła na zaspokojenie ogólnego obrachunku pomiędzy rządami.

[1]) Monopol w Królestwie przetrwał, jak wyżej powiedzieliśmy, do końca r. 1872.

między całej dostawy 17,279,925 pudów, figurują:

komora w Granicy na 1,014,887 p.
w Aleksandrowie . . 2,064,007 „
w Grajewie . . . . 1,406,817 „
w Wierzbołowie. . . 563,232 „

Naturalnie, nie wiadomo, ile z tej ilości pozostało w Królestwie, a ile przeszło do Cesarstwa. Ale był to rok najobfitszy w dostawę zagraniczną; w roku 1877 zamiast 17 milionów, mieliśmy tylko 6. Ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, ile w tym mianowicie roku przypadło soli na wymienione wyżej komory, ażeby mieć przekonanie, o ile dostawa ta była wystarczającą dla Królestwa i jaka mniej więcej ilość z tej dostawy była spotrzebowana przez udność miejscową.

Sumując cały dotychczasowy wywód, dochodzimy do następującego wniosku:

Dla kraju naszego zniesienie podatku od soli o tyle będzie miało znaczenie, o ile będzie obniżonem cło od soli przywozowej, wynoszące dziś po 38 kop. w złocie od puda, czyli blizko 60 kop. w monecie kursującej. Co się zaś tyczy skutków, jakieby wywołać mogło wolne współzawodnictwo w produkcyi wewnętrznej, to tych w każdym razie bardzo długo jeszcze nam oczekiwać wypadnie.

W. M.

LIBERUM VETO.

Dwaj nowi poeci liryczni: pp. Goldfeder i Jung.—Elegie na temat differencyi handlowych i przemysłowych.—Niemożność pojedynku między p. Jungem a p. Weinbergiem. — Urząd lekarski potrzebujący specyalistów i 2000 rs. dla należytego zastąpienia delegacyi sanitarnej. — *Habeas-corpus-act* w świecie finansowym. — „Chwianie się“ i „upadanie“.—Przyczyna tych zjawisk w garderobie.—Przyjacielskie laury. — Jeśli wrona nie siada na kościele, nie trzeba jej spędzać kamieniem. — Wszechwiedza p. §.—Judyta i Holofernes.—Bajka opowiedziana temu, który nie był w Ameryce.—Lew i domowe koty.

Nie licząc nawet powrotu na scenę p. Popiel, chociaż przecie taka uroczystość nieczęsto nam się zdarza, tydzień ubiegły odznaczył się szczególną obfitością niezwykłych zdarzeń. Dość powiedzieć, że piśmiennictwo pozyskało odrazu dwa dzielne (jedno złote i jedno młode) pióra — pp. Goldfedera i Junga, od których wcale nie spodziewało się pomocy. Fakt ten, sam przez się niezwyczajny, jest tem dziwniejszy, że obaj nowozaciężni literaci zaśpiewali tonami najczystszej, rzeczywiście z rozkrwawionego serca dobytej liryki. Przedmiot pieśni p. Goldfedera jest rzeczywiście nader wzniosłym: poeta w umieszczonej między ogłoszeniami kilku pism elegii skarży się na swego współzawodnika z Łodzi, że ten obwinił go o fałszowanie rachunków i systematyczne nadużywanie ufności domu Krusze-Ender, skutkiem czego miały powstać dziś wykryte, tak zwane *differencye.*

To też w finale
O kryminale
Wieszcz śpiewa.

Nie mając pod ręką, jako niewydanych, dotychczasowych prac poety, mianowicie jego ksiąg bankierskich, z których jedynie możnaby wywnioskować, jak tam „*in illo tempore* bywało,“ nie rozstrzygam sporu i pozostawiam tę przyjemność sądowi, skoro zraniona niewinność do niego się odwołała. Nieszczęśliwy ten sąd! My, zwykli śmiertelnicy, napawamy się słodką wonią kwiatów bankierskiej poezyi, a on musi rozgryzać jej gorzkie korzonki.

Drugim — jakby się wyraziła p. Morzkowska — „zrozpaczonym w literaturze“ ubiegłego tygodnia był p. Jung. Jak p. Goldfedera oskarżono o różniczkowanie rachunków, tak p. Junga o fałszowanie piwa; tam miały zachodzić „differencye“ w należności, tu „differencye“ w kwasie fosfornym i słodzie, zastępowanym przez cukier z mączki kartoflanej. Na publiczny zarzut poeta „obficie konsumowanego w mieście i kraju produktu“ odpowiedział również rzewną i również między ogłoszeniami kilku pism pomieszczoną elegią, w której, zrzekając się opieki art. 1039 Kod. K. G i P., wzywa przeciwnika, dra Weinberga, na turniej przed sądem polubownym. Jakkolwiek wyzwanie przyjęto, wątpimy jednak, czy pojedynek się odbędzie. P. Jung bowiem żąda, ażeby sekundanci zbadali piwo *wprost z jego browaru* poczerpnięte, dr. Weinberg zaś, ażeby je wzięli *w dniu 21 lipca* z szynku Joiny Strumpf, przy ulicy Gnojnej pod nr. 9. Trudność więc spoczywa w tem pytaniu: czy panowie eksperci zdołają dziś, 29 stycznia 1881 roku, dostać piwa od Joiny Strumpf w dniu 21 lipca 1880 r. Joina Strumpf zapewnie żyje, jego szynk istnieje, ulica Gnojna i nr. 9 również, może nawet piwo z browaru p. Junga się dochowało, ale 21 lipca 1880 r. przeminął i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie wróci. Na pamiątkę więc całego sporu, jako jedyny jego wynik, pozostanie nam elegia p. Junga, wzbogacająca ważnym przyczynkiem lirykę krajową, no i może „zmieniona przezeń metoda warzenia piwa w następstwie *własnego doświadczenia*“—jak się wyraża p. Weinberg, według naszego poety, najzłośliwszy krytyk w Warszawie.

Zapewne dla nierozbudzania tej liryki zwierzchność policyjna i urząd lekarski oświadczyły się przeciwko utworzeniu delegacyi sanitarnej stałej, zaprojektowanej przez podkomitet obywatelski. Zdaniem tego urzędu delegacye sanitarne wszędzie w Cesarstwie zależą od organów policyjnych, wyjąwszy naturalnie te liczne miasta w których — jak wykazuje *Gaz. Warszawska* — dzieje się inaczej. Ponieważ jednak trudno wprost zaprzeczyć użyteczności instytucyi, mającej chronić nasze zdrowie, zatem urząd lekarski udziela bardzo dobrą radę: my mamy już komitet sanitarny, na odrębny „rząd się nie zgodzi“ (!), zamiast więc decentralizować naszą władzę, dajcie nam paru specyalistów (bo dotąd ich nie ma) i 2000 rs. rocznie dla wzmocnienia troskliwości i energii w dozorze. Jako obywatel m. Warszawy, pragnący żyć sanitarnie, nie będę miał nic przeciw temu, jeżeli: 1) urząd lekarski wylegitymuje się z przypuszczenia, że rząd nie dozwoli na utworzenie delegacyi obywatelskiej; 2) wytłomaczy, jak się dziś odbywa bez specyalistów i 3) przekona, że 2000 rs. wystarczą na wzmocnienie jego czujności i energii. Wtedy zaofiaruję mu moją białą gałkę i głosować będę przeciw delegacyi sanitarnej. Tymczasem... pocieszam się ogłoszonem niedawno sprawozdaniem komisyi wiedeńskiej, która odkryła, że nad modrym Dunajem w mleku bywa 25% wapna a w mące 30% gipsu. Jeżeli tak się dzieje w mieście ucywilizowanem, to my nietylko możemy pić piwo z cukrem kartoflanym, ale nawet zamiast chleba jeść tynk pieczony.

Wracając do liryki, oczekuje nas nowy jej przyrost z powodu nowego „zachwiania się“ pewnej firmy. Wtajemniczeni objaśniają, że przyczyną tego zachwiania się była naprzód intryga a potem złe języki ludzkie. Nie śmiem dwu tym siłom odmawiać potężnego wpływu nawet na bezpieczeństwo kas ogniotrwałych, sądzę jednak, że wartoby przynajmniej na pewien czas zawiesić *habeas-corpus-act* nietykalności, jakiego używają czciciele Merkurego i podciągnąć ich pod te same prawa kontroli publicznej, które obowiązują innych śmiertelników. Gdy obywatel ziemski nie zapłaci jednej raty Towarzystwu Kredytowemu, natychmiast przez ogłoszenia w pismach wystawia ono go na subhastację; tymczasem o kupcu lub bankierze, któremu zaprotestowano setki weksli, który więc sto razy się przewrócił, niewolno powiedzieć, że *ktoś* się zachwiał. Wtedy powinna zapanować uroczysta cisza, nieprzerywana nawet westchnieniem w imieniu tych, których „chwiejący się“, upadłszy, przewróci; wtedy stojący silnie na nogach, co prawdziwie nieszczęśliwemu nie podadzą palca—„zachwianego“ podpierają całemi ramionami. I dla czego nasi bankierzy się chwieją lub upadają, jeśli pominiemy intrygi i złe języki? Na pytanie to dała nam ciekawą odpowiedź licytacya rzeczy po pewnym „upadłym“. W garderobie jego żony znaleziono np. 150 par trzewików i 200 rękawiczek, zaledwie raz używanych. No, przyznajcie czytelnicy: czyja żona posiada tyle drobiazgów, ten przewalić się może bez intryg i złych języków, chociażby „ciągnął“ na Rotszyldów.

Ale idźmy dalej i wyżej po stopniach liryki.

W chwili gdy pp. Goldfeder i Jung uszczknęli pierwsze listki wawrzynów elegii, na skronie sędziwego, pod „dwoma siekierkami lat“ stojącego poety grono przyjaciół złożyło wieńce sławy prywatnej. Hr. Kossakowski w kole literatów i artystów uczcił 77-letnią rocznicę urodzin A. E. Odyńca. Poeta, chcąc zabezpieczyć się przeciwko strzałom tych, którzy już przeciw niemu naciągali swe łuki i zwykle rzucają go z Pegaza, rozbroił ich szczerem wyznaniem.

„Do owacyj tego rodzaju ja nigdy nie miałem prawa; ale też i pretensyj nie rościłem. Należą one tylko geniuszom, albo ludziom wielkiej zasługi i wtedy tylko godnie odpowiadają celowi. Ale wolno każdemu w domu swoim przyjmować swego gościa, jak mu się podoba, lub przyjaciołom u stołu biesiady uwieńczać choćby w laury swego przyjaciela. Tylko, że gdyby ten gość i przyjaciel wyszedł w tym wieńcu z domu i chciał stanąć jako posąg na forum, żadneby kwiaty ni laury nie osłoniły braków jego głowy. Zdarzyć się wszakże mogą okoliczności, że kogoś pomimowoli wyprowadzą gwałtem na forum, nie jako bohatera ale jako pamiątkę. W tym razie jak rola jego tak i sąd o nim powinien być inny. Naprzykład, przy niedawnem rozdawaniu nowych chorągwi armii francuskiej w Paryżu, reprezentantem armii starej był jakiś niedołęga z Domu Inwalidów, lecz który był już wtedy ostatnim jej szczątkiem. Otóż, gdyby ów reprezentant rozumiał, że to dla jego zasług ten go zaszczyt spotyka, byłby jak owa w bajce wrona na kościele, która dziękowała przechodniom, że przed nią kapelusze zdejmują. Wronę taką wartoby spędzić, choćby nawet rzutem kamienia. Ale gdyby ów stary inwalid czuł rzeczywiście swą rolę, a wspominając sobie dawne czasy i dawnych swych towarzyszy, poczuł w sercu odnowiony żal po nich i sieroce swe osamotnienie wśród nowych, czyżby nie było okrucieństwem, lub czyżby się godziło oficerom armii nowej urągać jego starości; wyrzucać mu, że on sam nic wielkiego nie zrobił, albo przypominać usterki, które, dajmy, że mu się kiedyś nie z złej jego woli, lecz z chwilowej omyłki zdarzyły?“

Może przez 77 lat swego życia Odyniec niemiał nigdy lepszego natchnienia, jak w tem szczerem wyznaniu. Rzeczywiście, wolno przyjaciołom zdobić głowę przyjaciela laurem, i nikt tego ganić nie ma prawa, jeśli uwieńczony nie wyjdzie „z domu na forum i nie stanie jako posąg.“ Jednocześnie nie godzi się w takiej chwili urągać inwalidowi. Gdy A. E. Odyniec nie jest „wroną na kościele“, nie należy go spędzać kamieniem, zwłaszcza, że zachęca swych duchowych współwyznawców do „szanowania sprzecznych zdań“ i „względności, którą w każdem, niedzikiem społeczeństwie ludzie ludziom nawzajem są winni.“ Ponieważ nie byłem świadkiem wypo-

wiedzenia tych słów, więc niech mówca przyjmie odemnie spóźniony, dodatkowy oklask.

Nie zazdroszcząc prywatnych laurów Odyńcowi, zazdroszczę publicznych p. §. z *Gazety Polskiej*. Miły Boże, czego ten człowiek nie umie! Gdybym nawet żył tyle lat, co kruk, nie zdobyłbym ani połowy tej mądrości. Na wszystkiem się zna: na filozofii, historyi, pedagogice, lingwistyce, gospodarstwie społecznem, powieściach, dramatach, malarstwie, rzeźbie, moralności, religii, polityce, naukach przyrodniczych, nie licząc „obywatelstwa" i sztuk wyzwolonych. Córka Geldhaba nie wypowiadała pewnie z taką łatwością wierszy na stół czarny, z jaką p. §. sądzi o Makarcie lub Jul. Bartoszewiczu. Wobec takiej wszechstronnej wiedzy z pokorą przyjmowaliśmy od niego lekkie i ku nam zwrócone napomnienia. Nie ugięła się jednak harda dusza p. Orzeszkowej. Mściwa Judyta, oburzona krzywdą p. Konopnickiej i własną, odcięła w *Wieku* głowę śpiącemu na poduszkach *Gazety Polskiej* Holofernesowi i potrząsając nią, opowiedziała nieboszczykowi następującą bajkę:

„Żył raz na świecie człowiek pewien, który skłon widzialnego dlań widnokręgu poczytywał za kraniec świata. Człowiek ów tak dobrze potrafił wmówić gromadzie, której był członkiem, że za tym skłonem nic już nie ma prócz próżni i ciemności, że gromada siedziała wciąż i rozradzała się na szczupłej przestrzeni, ani myśląc o jakiemkolwiek posuwaniu się dalej. Czas płynął, gromada wzrastała, przestrzeń zamknięta skłonami nieba stała się strasznie ciasną, grunt zjałowiał, wyczerpały się studnie... Głód, pragnienie, wzajemne zawiści i swary wytępiły tak biedną gromadę, że zniknęła bez śladu...

„Człowiek ów, który w gromadę swoją wmówił, że u skłonu nieba kończy się świat, nie wierzył w to sam ani trochę" — ja dodam — chyba, że nie był nigdy w Ameryce...

Dla scharakteryzowania sił biorących udział w tej walce, dodać winienem, że gdy nasze *paragrafy* za przypomnienie nadużyć kościoła przemawiają do pani Konopnickiej i Orzeszkowej językiem kodeksu Kar Głównych (nawet nie Poprawczych), Kraszewski tak pisze w *Kłosach* o *Fragmentach dramatycznych*: „Hypatya, Vesaliusz, Galileusz, składają pewną całość w trzech różnych dobach, w trzech postaciach odmiennych dając nam jedno — poświęcenie człowieka dla idei, dla prawdy. Są tu męczennicy za prawdę, a *więc najwznioślejsze istoty, najpiękniejsze charaktery, najjaśniejsze przykłady*". No, możeby przeciw Kraszewskiemu zrobić maleńką wyprawkę prawomyślności? Przecież to wileńczyk, katolik, niemateryalista, nie „nieproszony," owszem „proszony reformator." Lew! więc trzeba cicho siedzieć. Tak, lew, a jakkolwiek ma naturę, zawsze lepszą, niż zwykłe domowe koty.

Poseł Prawdy.

NEKROLOGI.

I znowu jeden człowiek zrobił zawsze u nas dobry interes: umarł—dr. Triplin. Przez całe życie nie był ani jedną chwilę tak sławnym, jak dziś—po śmierci. Wszyscy pamiętamy, jakto się serdecznie śmiano na samo wspomnienie nazwiska „słynnego podróżnika." Nietylko literaci, ale nawet panny ekonomówny opowiadały sobie po cichu wesołe nagrobki tureckie, które Tripplin pozamieszczał w swoich zmyślonych opisach, a które na wspak czytać trzeba. *Ais arak*, itd. czy jest kto w Polsce między czytającymi, któryby o tem nie wiedział i w rozmowie „kawalerskiej" nie rozweselał przyjaciół? Jak dalece brać literacka pamiętała o swym koledze, dość faktu, że przez trzy lata ogłaszano go za umarłego. Gdy zmartwychpowstał i odezwał się, wszyscy znowu parsknęli śmiechem. Kilka pism spróbowało jego nazwiska użyć dla przynęty, ale dawny urok minął. Szczerze mówiąc, Tripplin przestał istnieć nawet dla reporterów. Nikt się o niego nie troszczył. Nareszcie umarł—a wtedy w naszej prasie ożył. Ona zawsze krzyczy: *le roi est mort, vive le roi*—o każdym! Gdyby nieboszczyk znowu powstał z rzeczywistego na ten raz grobu, nie uwierzyłby własnym oczom, czytając co o nim piszą... po śmierci. „Nieboszczykowi przyznać należy *bardzo wydatny* talent pisarski, *rzadką* wytrwałość w pracy, *niepospolitą* odwagę w życiu, a przedewszystkiem *przejęte miłością bliźniego* serce i dłoń *zawsze otwartą* dla tych, którzy cierpieli." O tem wszystkim Tripplin nie wiedział za życia, a teraz sypią mu kwiaty do grobu, bo czuć ich woni nie może. „Pozostawił on w rękopisie—czytamy dalej—sporo prac niewydanych; *tuszymy*, że rodzina zajmie się uporządkowaniem i przygotowaniem do druku." Jakże myślisz czytelniku, gdyby ten opłakiwany dziś Tripplin uporządkował był sam i przygotował do druku swe prace „przepełnione miłością ideału," czy to samo pismo, które tak rzewnie szlocha, przyjęłoby mu choćiaż jeden artykuł—nie *nadesłany*? Czytając opisy zdolności pogrzebowych płaczek, zalewających się na zawołanie łzami, nie wierzymy w tę sztukę; a jednakże dziennikarstwo nasze pokazuje ją nad każdą trumną. Ogłupiony ogół, który o żyjących nic albo nic dobrego nie słyszy, a o umarłych dowiaduje się cudów, staje i pyta zdumiony: co ma właściwie myśleć? co jest prawdą: czy milczenie i nagany, czy krzyk i pochwały? Zaiste, z całą naszą dumą przewodników narodu, nic jesteśmy nic a nic lepsi od prostych bab wiejskich, które obmawiają sąsiada póki żyje, a gdy umrze, zbierają sie w karczmie na stypę i wysławiają cnoty poczciwego nieboszczyka. Czy nie prostsza droga być sprawiedliwym jednako za życia i po śmierci?

Pogrzebne dzwony zagłuszyły u nas w ostatnich dniach głosy życia. Rydzowski i Krzeczunowicz w Galicyi, Tripplin i dr. Chomętowski u nas powlekali swym całunem kolumny dzienników. Jeżeli Tripplinowi dostały się od nich wieńce ze zwyczaju, to Chomętowskiemu z istotnej, najpopłatniejszej zasługi. Był on bowiem jednym z głowniejszych pracowników w tej winnicy pańskiej, co zalega całe prawie pole publicznej myśli i pozostawia zaledwie kilka zagonów grzesznikom, z których nawrócenia najbardziej rozradowywa się niebo. Klerykalne szczepy tego pobożnego ogrodnika odbijały tem żywiej, że on je sadził na przyrodniczym gruncie, na tym gruncie, na którym zwykle podobne ziele nie porasta. *W Kronice Rodzinnej* i innych pokrewnej formacyi pismach pomieszczał pogadanki naturalistyczne, w których—jak mówią niemcy—fakta „za włosy" ściągał do swych biblijnych teoryj. Dla nieba pracował, niebu też tylko się zasłużył. My na ziemi pozostali nie mamy mu nic do zawdzięczenia i kładziemy na trumnę te znaki honorowe, któremi za życia się zdobił: miecz krzyżacki, biret kaznodziejski i ordery świętego państwa Rzymskiego. *A. Na.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 stycznia.

Mowa, wypowiedziana przez Gambettę w Izbie deputowanych francuskiej po ponownem wybraniu go na marszałka, jest najwybitniejszym faktem politycznym ubiegłego tygodnia. Dzienniki, niemile patrzące na wzrost potęgi francuskiej i jej pierwszego trybuna, nazywają ten manifest Gambetty „mową tronową" przyszłego dyktatora, nie dostrzegając że jeśli odrzucimy samą nazwę, która zawiera w sobie docinek, ubliżający republikańskim uczuciom prezesa Izby, to w gruncie rzeczy porównanie mowy Gambetty z mową tronową podnosi jej znaczenie w sposób bardzo korzystny. Niezaprzeczenie niejeden panujący mógłby się czuć szczęśliwym, gdyby się znalazł w możności wypowiedzenia przed reprezentacyą narodu takiej mowy tronowej. Długi szereg świetnych rezultatów, osiągniętych przez rzeczpospolitę, widnieje w mowie prezesa Izby, przedstawiony w sposób pełen godności i taktu, a rząd, polecając mowę tę wywiesić we wszystkich gminach całej Francyi, wie, jak poważnem świadectwem rekomenduje swoje działania.

Przytoczymy tu w krótkiem streszczeniu osnowę tej mowy: „Obecna sesya parlamentu—tak brzmi jej początek — która ma być ukoronowaniem całego okresu prawodawczego, dokonać ma uzupełnienia zadań, jakie kraj na was włożył. W czasie od maja i października 1877 r. położyliście panowie koniec pokuszeniom władzy osobistej, przywróciliście do należytego znaczenia zasadę rządzenia krajem za pomocą kraju, Paryżowi wróciliście parlament, a dzięki wielkiej przezorności politycznej, zniszczyliście resztę śladów rozdwojenia w obywatelskich szeregach, nie narażając przytem na szwank republikańskiego porządku w kraju. Ugruntowaliście w tym czasie wolność nauczania i swobodę sumień, uorganizowaliście udzielanie wyższej nauki. Wielkie roboty publiczne zostały posunięte w rozwoju do takiego stopn.a, jak nigdy przedtem. Sieć dróg żelaznych została ukompletowaną. Dunkierka i Marsylia stały się portami, mogącymi współzawodniczyć z największemi przystaniami w świecie, drogi i kanały częścią odnowione, częścią nowo zbudowane, uzupełniły cały system komunikacyj lądowych i wodnych. Z temi pomocniczemi przedsięwzięciami ekonomicznej i przemysłowej natury łączą się także nowo przygotowane środki militarne i marynarskie.

„Poświęciliście panowie troskliwą pieczę sprawom armii, a sądzę, że nie rozejdziecie się pr,ędzej, póki nie zostanie położoną ostatnia cegiełka pod gmach obrony narodowej (Burzliwe brawo). Wszystko to mogło być dokonanem dzięki pracowitości i oszczędności kraju, która pozwala od lat pięciu zmniejszać podatki i zaprowadzać ulgi we wszelkich kierunkach. Przywróciliście stanowczą równowagę w budżecie a kredyt Francyi postawiliście na poważnej wyżynie. Ustanowiliście prawo o stowarzyszeniach. Ustawy o wolności prasy i prawnem uznaniu stowarzyszeń rzemieślniczych będą jeszcze przedstawione do uchwały waszej, (Huczne, przeciągłe oklaski)." Część mowy, poświęcona polityce zagranicznej, przedstawia się w treszczeniu jak następuje: Całą działalność waszą, panowie, mogliście przeprowadzić wśród spokoju wewnątrz i na zewnątrz państwa. Zwłaszcza co do zagranicznej polityki zostawaliście panowie zawsze w niezakłóconej zgodzie z waszym rządem. (Brawo). Wbrew wszelkim przeciwnym insynuacyom, Francya nie kryje i kryć w sobie nie może żadnych tajemnych planów lub awanturniczych zamiarów. (Grzmiące brawo). Rękojmią tego stanu jest sama republikańska forma rządu, przy której wszystko zależnem jest od najwyższej woli narodu; rękojmią nadto jest demokracya, w której ustroju godny a silny pokój zewnętrzny jest ważnym środkiem wewnętrznego rozwoju i postępu. (Brawo). Taką politykę i jej widome już rezultaty możecie panowie z całą pewnością siebie przedstawić krajowi, gdy was do rachunku w jakiejbądź formie zawezwie. Naród zresztą niejednokrotnie miał już sposobność

wyrokować o czynach waszych i zawsze je uznawał i pochwalał. Z tych objawów opinii narodowéj na korzyść rzeczypospolitéj wyprowadzam wniosek, że na téj drodze trzeba nam postępować dalej, chcąc odpowiedzieć życzeniom i interesom Francyi. Należy nam stworzoną przez nas rzeczpospolitę zaopatrywać ustawicznie w instytucye liberalne i demokratyczne, w których zjednoczą się wszyscy patryoci Francyi."

Sprawa irlandzka w parlamencie angielskim weszła nareszcie w okres t. zw. merytorycznego traktowania. Rząd wniósł przed Izbę przedewszystkiem bil o zapatrzenie władz irlandzkich w wyjątkowe pełnomocnictwo celem zabezpieczenia własności i osób, czyli innemi słowy—bil o represyjnych środkach przytłumienia ruchu. Izba na wniosek Gladstona, którego w téj sprawie popiera najmocniej opozycya torysowska, udzieliła dla pomienionego bilu prawo pierwszeństwa obrad; jest więc prawdopodobieństwo, że mimo „obstrukcyjnej" taktyki irlandzkiéj przejdzie ten bil w ciągu kilku posiedzeń, aby zrobić miejsce bilowi o roformie stosunków rolnych. który stanowi jądro rzeczy i najwięcéj obudza zainteresowania. Co do bilu represyjnego, to nadmienić jeszcze należy, że z treści jego podały nam dziennikarskie sprawozdania tyle tylko do wiadomości, iż nadaje rządowi irlandzkiemu prawo aresztowania każdego, ktoby się okazał podejrzanym o zdradę stanu lub podobnego rodzaju przestępstwa i że obowiązywać ma tylko do dnia 30 września r. b. Proces Parnella w Dublinie został ukończony. Ponieważ przysięgli nie mogli osiągnąć wymaganej przez prawo angielskie jednomyślności w wydaniu werdyktu potępiającego, zatem oskarżeni wyszli zwycięsko uwolnieni od wszelkiego dochodzenia. Parnellowi, opuszczającemu salę sądową, wyprawiono krzykliwą owacyę.

W sprawie greckiéj, od czasu ostatniego przeglądu naszego, przybyło tylko trochę więcéj makulatury dyplomatycznéj, mianowicie nowy okólnik pana Komandurosa, sama jednak sprawa nie postąpiła właściwie ani o krok naprzód.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Towarzystwo wyścigów konnych w Królestwie Polskiem otrzymało zezwolenie na urządzanie w Warszawie przez lat sześć z rzędu wystawy koni, bydła i ptastwa domowego. Przyczyni się to niezawodnie do rozwoju hodowli tych zwierząt w kraju naszym.

— P. Eugeniusz Babiński, przełożony szkoły realnej prywatnej, otrzymał od władzy pozwolenie na otwarcie przy zakładzie swym stałego muzeum pedagogicznego.

— W Krakowie zawiązał się już komitet do urządzenia wystawy rolniczo-przemysłowej, która odbędzie się tam we wrześniu roku bieżącego.

Teatr. W ubiegłą niedzielę odbył się w Teatrze Wielkim poranek dramatyczny na korzyść warszawskiego szpitala dziecinnego. Widowisko składało się z trzech sztuk. Między innemi odegrano *Iskierkę* Paillerona, w któréj wystąpiła pierwszy raz po powrocie swym na scenę pani Popiel-Święcka.

— Wesołą jednoaktówkę, tłomaczoną z francuzkiego p. t. *Kula u nogi*, odegrano po raz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości podczas trzeciej maskarady.

Literatura polska. *Biblioteka kórnicka* wydała w Paryżu świeżo dzieło H. Wrońskiego: *Wstęp do matematyki.*

W Wiedniu wyszedł drugi tom pracy Lisickiego p. t. *M. Le Marquis Wielopolski, sa vie et son temps 1803—1877.*

— We Lwowie ukazały się *Satyry obyczajowe* Rodocia.

— Z drukarni uniwersytetu jagielońskiego w Krakowie wyszła praca Dra. Jana Trejdosiewicza p. t. *O porfirze w Królestwie Polskiem.* Do książki tej dołączono dwie mapki geograficzne: Szląska górnego i okolic pogranicznych, oraz zagłębia węglowego w Królestwie Polskiem.

— Zeszyt IV *Gramatyki sanskryckiej* ks. Fr. Ksaw. Malinowskiego nadszedł już do księgarń warszawskich.

— Zeszyt szósty tomu I-go *Encyklopedyi wychowawczej* zawiera dokończenie artykułu o arytmetyce przez Wincentego Trybulskiego, oraz początek astronomii przez J. Kowalczyka.

Literatura niemiecka. Nakładem Jerzego Frobeen w Bernie i Lipsku wyszło dzieło M. Reymonda p. t. „Niemiecki kodeks karny" rymowany dla łatwiejszego spamiętania oddzielnych artykułów. Nauczyciel z *Pieszczoszka* ma więc do śpiewu z uczniami gotowe libretto.

— W Gotha ukazały się dwa pierwsze zeszyty zapowiedzianej oddawna: *Encyklopädie der neuren Geschichte.* Wydawnictwo pomienione obejmie i materyały do naszych stosunków się odnoszące.

— C. Quandt napisał opowiadanie historyczne pod tyt. *Polacy w Gdańsku.* Treść zapożyczona z dziejów miasta, które autor w sposób malowniczy przedstawił.

— *W Revue des deux monds* rozpoczęto druk listów słynnej powieściopisarki George Sand. Listów tych zebrano dotąd przeszło 4.000;—niejeden z nich odnosi się zapewne do epizodów miłosnych autorki.

Dziennikarstwo polskie. *Przegląd techniczny*, pismo miesięczne, poświęcone sprawom techniki i przemysłu, zmieniło skład redakcyi i warunki przedpłaty.

— W pismach warszawskich pomieścił J. I. Kraszewski odezwę, wzywającą osoby i pisma, posiadające fundusze, przeznaczone na restauracyę pomnika z Tańskich Hoffmanowej, aby zechciały nadsyłać zebrane składki na jego ręce, dla prędszego rozpoczęcia robót około odnowienia pomnika.

— *Tygodnik Ilustrowany* donosi, że na pomnik Mickiewicza zebrano dotąd ogółem 19,966 złr. Projektowany posąg spiżowy kosztować może około 40.000 złr. Brak więc jeszcze znaczej stosunkowo sumy—pomimo balu hr. Tarnowskiego.

— W Krakowie od n. roku wychodzić zaczął nowy dwutygodnik p. t. *Gwiazda krakowska.*

— W ostatniem numerze *Opiekuna domowych i pożytecznych zwierząt* pan Ignacy Żochowski zamieścił list, do współbraci rolników adresowany, w którym wykazuje użyteczność wróbli, bez zastanowienia tępionych przez mieszkańców wsi i miasteczek.

— Wyszedł z druku pierwszy numer *Przeglądu bibliograficzno-archeologicznego.* Dwutygodnik ten. poświęcony bibilijografii, archeologii, numizmatyce, heraldyce, historyi, sztukom pięknym i literaturze, zawiera z artykułów większych: „W kwestyi konserwatorstwa zabytków przeszłości" „Ostrogskie i Rowieńskie wykopalisko," przez Andrzeja Janowicza; „Wojna Chocimska Wacława Potockiego" przez J. I. Kraszewskiego.

Dziennikarstwo rosyjskie. *Biereg*, redagowany przez znanego publicystę p. Cytowicza, spełniający w Rosyi rolę *Nordd. Allg. Zeitung*, przestał wychodzić od nowego roku st. stylu.

— *Moskowskij telegraf*, nowy dziennik, którego tekst w znacznej części sprowadzany jest drutem telegraficznym redakcyi z Petersburga, zaczął wychodzić w Moskwie od n. roku s. s, Jest to organ żywiołów wolnomyślnych, dość silnie nacechowany ich charakterem.

Dziennikarstwo zagraniczne. W 171 zeszycie *Biblioteki teatralnej*, wydawanej w Pradze czeskiej przez Poszpila, pomieszczoną została krotochwila M. Bałuckiego *Krewniacy*, przełożona na język czeski przez A. Schwaba—Polabskeho.

— Dziennik węgierski *Aleföld*, wychodzący w Asadrie, drukuje obecnie przekład powieści Korzeniowskiego „Kollokacya."

Towarzystwa naukowe polskie. Towarzystwo archeologiczne lwowskie obrało na prezesa znanego numizmatyka miejscowego Adolfa Pressena, na miejsce b. prezesa dra Stanisława Dębno Krzyżanowskiego.

— W Towarzystwie przemysłowem poznańskiem miał w d. 10 b. ur. dr. M. Kantecki odczyt *„O Polsce wylaniającej się ze Słowiańszczyzny".* Prelegent opuścił czasy bajeczne i przedstawił czasy od Bolesława Chrobrego.

— W Towarzystwie lekarskiem krakowskiem odbyło się dnia 5 stycznia doroczne posiedzenie administracyjne, na którem uchwalono zmianę kilku statutów towarzystwa. Na prezesa wybrano dra Jordana, na wice-prezesa dra Domańskiego.

— Na posiedzeniu warszawskiego Towarzystwa farmaceutów, które odbyło się w zeszłą sobotę, wybrani zostali: na prezesa Henryk Hubert, na wice-prezesa Jan Mrozowski; inni członkowie komitetu pozostali na swych stanowiskach.

— Fundacya Karola Szajnochy we Lwowie w sprawozdaniu z działalności swej za rok ubiegły podaje do wiadomości publicznej, że dochód od funduszu żelaznego 28825 złr. wynoszący rocznie 1579 złr. a przeznaczony na wsparcia dla członków rodziny słynnego historyka i ludzi zasłużonych w literaturze ojczystej, przyznanym być ma w r. b. w połowie zasłużonemu matematykowi Niewęgłowskiemu, w połowie zaś wdowie po ś. p. Karolu Szajnosze.

Sztuka. Wiktor Brodzki wykończył świeżo w Rzymie nowy posąg Wenery. Podobiznę tego dzieła, o którem krytyka zagraniczna z wielkiemi odzywa się pochwałami, podaje w drzeworycie przedostatni numer *Ilustratione italiana.*

— Komitet Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych przyznał nagrody za prace konkursowe p. Mireckiemu Kazimierzowi, za obraz olejny, przedstawiający ostatnie chwile Długosza; p. Marczewskiemu Hipolitowi za statuetkę, przedstawiającą księdza Kordeckiego, i p. Adamczewskiemu Stanisławowi, budowniczemu, za szkic do budowy w Warszawie cmentarza na wzór Campo-Santo.

— Na wystawę Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych w Warszawie, przybyły w ostatnich czasach następujące dzieła: Chełmońskiego Józefa *Powrót z polowania;* Dukszyńskiej Emilii *Wierna piastunka;* Łosia Włodzimierza *Przed chatą;* Kochanowskiego Romana 2 obrazy: *Stare koryto Wisły pod Rakowcem* i *Pasterka;* Maleszewskiego Tytusa *Portret A. E. Odyńca;* Plauszewskiego Walerego *Portret panienki;* Pussena Gaspara *Krajobraz;* Wastkowskiego Franciszka *W Pieninach;* Perla Edmunda *Lato i Jesień;* Redlicha Henryka *Głowa kobiety,* studyum.

— Makart ukończył świeżo obraz znacznych rozmiarów przedstawiający *Kobiety w kąpieli*, o którym krytycy wiedeńscy wyrażają się nader pochlebnie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumeratorowi. Nie są to dwa ciągi jednej powiastki, ale dwie osobne, połączone jedynie wspólną myślą i tytułem. Nic więc nie opuszczono.

P. Leonardowi Eichler w Nieszawie. Oba zeszyty Langego zostały panu wysłane. Zbadamy, dla czego nie doszły.

P. W. Z. Dział „Piśmiennictwo Polskie" opracowywa się zbiorowo. P. J. Karłowicz jest tylko autorem artykułu podpisanego.

P. Żebrowskiemu w Myszyńcu. Oba numera wysłaliśmy Panu, wysyłamy je dziś ponownie. Jest to nie pierwszy raz zdarzające się nadużycie przesyłki, o które u władzy pocztowej upomnimy się.

P. F. w Wiedniu. Skradziono Panu, gdyż były wysłane. N. 2 przedrukujemy w tych dniach.

Wszyscy nasi abonenci zechcą łaskawie zawiadamiać nas o każdym zaginionym numerze.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Января 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**